

Łoś Wincenty

PORTRET "PIĘKNEJ PANI"

I

Już jako czternastoletni chłopiec, dowiedziałem się przypadkowym sposobem, że moja babka miała siostrę. Chociaż jej też wcale nie znałem, a nawet nazwisko jej nigdy o uszy mi się nie obilo, historia jej przygód obfituje w tyle wspomnień, że one potrafią zappełnić szerokie dosyć ramy ciekawego opowiadania. O istnieniu tej osoby zachowywano w domu głębokie milczenie, jakby do niej przywiązanym był jakiś straszny dramat rodzinny. Straszdyło tradycji zdawało się tu być silniejszym, od najbardziej rozbudzonej ciekawości młodszych pokoleń. Ale cóż ujdzie ciekawości popsutego wnuka? Raz bawiąc się w "chowanego" z rodzeństwem, schowałem się do szafy mojej babki, umieszczonej w murze, a przeznaczonej jako schowanie mało używanych sukien. Tam przycupnąwszy, potraściłem obraz, który jak zwykle obrazy, wielce zainteresował moją młodą wyobraźnię. Dla czego ten obraz był ukrytym, podczas gdy inne zdobiły majestatem sławnych antenatów ściany poważnych komnat, sal i krużganków starożytnej rezydencji dawnego historycznego rodu? W sekrecie tedy, korzystając z pierwszej chwili, gdy bezpiecznie mogłem zrobić rewizję w szafie babuni, wydobyłem z niej płótno, które malowidłem, jakie się na niem znajdowało, okrutnie mi zaimponowało. Był to portret prześlicznej kobiety z czasów pierwszego cesarstwa. Twarz jej

pełna i owalna, miała alabastrową cerę, odbijająca przy hebanie
włosów
zaczepionych a la Josephine. Uśmiechała się do widza namiętym i
rozkoszonym
wyrazem swych koralowych ust, które po niebieskich dużych oczach,
najpiękniejszą
były ozdobą, jej twarzy.

Ubranie tej pani składało się z muślinowej białej, dekolowanej sukni,
ozdobionej niebieskimi wstążkami, jako też tiulowymi bufami. A jej
śliczna

figura ujęta była srebrnym paskiem, zdobnym w turkusy i emalie.

Portret ten chwilę tylko widziałem, ale go zapamiętałem w
najdrobniejszym

szczególe, choć liczyłem wówczas czternasty rok życia.

— Dla czego nie wisi w gabinecie babci na ścianie, przykrytej
portretami

familijnymi? — uparcie sam siebie pytałem.

Wszak był on najpiękniejszym z nich wszystkich. Nie mogąc sam
rozwiązać tej tajemnicy, udałem się do matki, odkrywając jej pod
wielkim sekretem kryjówkę portretu "bardzo pięknej pani" i tajemnicę
babuni.

Ale matka w odpowiedzi zburczała mnie, że po szafach, jak złodziej
jaki szperam,

nakazując mi przytem najgłębsze milczenie co do portretu.

Nie potrzeba było więcej, by rozbudzić do najwyższego stopnia
dziecięcą jeszcze
ciekawość.

To też od tego czasu trawiła mnie chęć dowiedzenia się historii tego
obrazu, bo

przecież historię mieć on musiał.

Ta piękna pani, która mi żywo stała w pamięci, musiała przedstawiać
osobę

straszną i dramatyczną, jak ten portret białej damy w Rydzynie, który
w dzień

zaduszny wychodził z ram i straszył w zamku, według opowiadań
naszej bony.

Od tego czasu, żądza docieczenia historii portretu "pięknej damy",
stała się

niejako idee fixe mego, zaczynającego pracować mózgu.
Ztąd wszystko znajdujące się w pokoju mej babki, przedstawiało w moich oczach
wiele interesu. Zacząłem się przyglądać baczniej wszystkim przedmiotom,
znajdującym się w jej gabinecie, aby z nich jakiś związek z portretem wydobyć.
I po długich usiłowaniach, natrafiłem znów na szczegół, który połączyłem z tajemnicą portretu.
Na biurku babuni stały dwie miniatury, oprawne w czarny heban, na machoniowych, zdobnych w brzozy staluzkach.
Te miniatury niezmiernie się podobały moim ciekawym oczom, tak były one ładnie i barwnie namalowane, a tak małe, jaskrawe, tak śliczne obrazki. Przyglądać im się było prawdziwą przyjemnością. Ale wkrótce po odkryciu w szafie portretu, sam zauważyłem między niemi miniaturę, przedstawiającą dziewczynkę bawiącą się z barankiem.
Ta dziecina miała niebieskie oczy, czarne włosy i pulchne usta, przypominała portret "pięknej pani". Z chwilą też, gdy to podobieństwo odkryłem, szalona mnie ogarnęła chęć dowiedzenia się, kogo miniaturka przedstawiała. Bo i dzieci mają swoje przebiegłości — i mylą się rodzice, którzy sądzą że im byle czem oczy zamydlić można.
To też raz, gdy babunia siedziała na swej kanapie i robiła pończochy dla wnuków, oparłem się o biurko i przypatrując się miniaturce, spytałem.
— Babuniu, a kto to?
Matrona podniosła oczy, a przeniósłszy je na biurko, spoglądała na obrazek który palcem wskazywałem.
— To podczaszyc — mówiła — brat mój, a twój dziadunio...
— A ten babuniu?

— To żona jego.

— A ta pani?— To twoja prababka.

— A ten ułan babuniu?

— To twój stryj.

— Aaaa... stryjcio... a ta dziewczynka z pieskiem babuniu? taka ładna?

Tym razem matrona długo nic nie odpowiadała tak długo, iż powtórnie zapytałem, a pamiętam że mi serce wówczas z ciekawości biło.

— Ta ładna dziewczynka babuniu?

— To jest... ładna dziewczynka — odparła matrona wzdychając.

Spojrzałem na nią zdziwiony i od tego czasu niejedne bezsenną godzinę spędziłem

w łóżku, pracując nad rozwiązaniem tajemnicy pani i dziewczynki.

Jakkolwiek już nie byłem dzieckiem, bałem się od tego czasu o zmierzchu, pokoju

babuni i tej szafy w murze i tej miniatury, z której przecież wyjść do mnie

mogła śliczna dziewczynka.

Za nie na świecie nie byłbym poszedł do tego pokoju gdy noc zapadła, a księżyc,

wdzierał się przez okno i oświecał stojących na biurku: podczaszyca i stryjcia i

dziewczynkę z barankiem.

Ale niczego długo dowiedzieć się nie mogłem. Raz jednak

podśledzałem następującą

rozmowę, z której wyniosłem przekonanie, że portret pięknej pani i dziewczynki,

ma dramatyczną historię, podobną do powieści o Rydzyńskiej białej pani.

Babunia pewnego czasu zasłała, a jej powiernica donosząc o tem mej matce, tak

mówiła:— Bo co też pani się tak martwić? Mój Boże! po tylu latach!

toćby i sam Bóg

zapomniał.

Urwała i dodała ciszej.

— Gdy pani list z Warszawy przeczytała, to zaraz się zasepiła. Wyjęła portret

siostry ze szafy i długo, długo mu się przyglądała i płakała... płakała.
Moja matka milczała, a stara służąca babuni dodała jeszcze:
— Bo co też ta pani Olimpia zgryzoty mojej pani narobiła. I na starość się
jeszcze tak gryść. Co się stało, nie odstanie! A pani się tak trapi, że jej
siostra widzieć nie chce. Ot...
Więcej nie usłyszałem, ale i to mi wystarczyło do nabrania pewności,
że portret
"pięknej pani" przedstawiał siostrę mojej babki, której na imię było
Olimpia i
że ta była przyczyną niezliczonych jej zmartwień.
Byłbym zapewne w bujnej czternastoletniej wyobraźni lepiej
odtworzył historia
portretu pięknej pani, gdyby nie okoliczność, że w kilka dni później
wysłany
zostałem do szkół publicznych do Krakowa.
O portrecie pięknej i strasznej pani, na śmierć zapomniałem.
II. Po upływie siedmiu lat powróciłem do rodzicielskiego domu,
opatrzone w
świadectwo ukończonych szkół. Moją babkę zastałem przy życiu i
zdrowiu, była to bowiem jedna z tych starych
daty matron, co do grobowej deski zachowują, zasoby sił i pewien
odblask
młodości,
Kobieta ta zresztą dopiero sześćdziesięcioletniem żyła sercem, a serce,
jeśli
nie skamienieje pod wpływem okoliczności, to się i nie starzeje.
Znalazła mnie "bardzo dobrze", jak się z francuzką wyrażała,
zapewniając, że
wyjdę na kawalera obytego i edukowanego, który nazwiska nie
skompromituje.
Babka moja, będąc jak wszystkie matrony pamiętające jeszcze czasy
Stanisława
Augusta, wielką arystokratką, szczególną przywiązywała wartość do
ówczesnej
reprezentacji nazwiska.
Znajdowała mnie podobnym do podczaszyca, który, jak zapewniała,
ozdobą był

salonów z czasu pałacu pod Blachą, pani Sobolewskiej i Julii Potockiej.

Wkrótce po moim powrocie do domu uradzono, że powinienem dla wypolerowania się między ludźmi i na wielkim świecie, spędzić jeszcze jakiś czas w stolicy na rozrywkach memu wiekowi odpowiednich.

Postanowiono więc opatrzyć mnie w listy rekomendacyjne do różnych domów w

Warszawie i wysłać tam na kilka miesięcy.

Już wszystko do podróży było przygotowanym, już nazajutrz miałem na dłuższy czas

opuścić dom rodzicielski, gdy mnie babunia. zawezwała do siebie, i odkładając druty od pończoch, a zagłębiając się w fotelu, temi słowy zaczęła:

— Jesteś kawalerem dorosłym i mogę z tobą, mówić o rzeczy, o której mówić nie

lubię, a która zapewne zupełnie ignorujesz.

Nadzwyczaj zaciekawiony, skinąłem tylko głową na znak, że gotów jestem z uwagą,

babki słuchać. To też jakby się zanosilo na długie posiedzenie, dalej ciągnęła:

— Jedziesz do Warszawy i wypada, abyś będąc w tem mieście, znał pewną osobę,

bardzo blisko mnie i ciebie obchodzącą, tą osobą jest moja rodzona siostra, pani

Olimpia...

Tu bardzo się zamyśliła i długo milczała, aż po chwili, jakby się budząc z

zadumy, podchwyciła wątek opowiadania, ale już w innem miejscu.

— Jest to moja starsza siostra, de facto księżna Izydorowa X...; bałamucę cię,

bo niewiem, jak ci to wszystko powiedzieć.

Babka znów urwała i znów po chwili zaczęła.

— Nazywa się pani Olimpia... to ci wystarczy. Bardzo bolesny wypadek zaszły w r.

rozdzielił nas na zawsze, choć nie mógł jej z mego serca, jako starszej i

ukochanej siostry, wyrugować.

Tu matrona znów się zamyśliła i jakby zapominając, że naprzeciw niej siedzę,

sama do siebie zmienionym tonem mówiła:

— Bo to Olimpka była zawsze egzaltowana i idealistka i taka... niech jej Bóg

przebaczy... patryotka. Babka-opuściła głowę i umilkła, głęboko rozstrojona i zadumana. Krząknąłem, by

jej przypomnieć moja obecność. Ocknęła się też zaraz i dalej mówiła.

— Na czymże to skończyłam? A! tak! od nie widziałyśmy się. Siostra mnie

widzieć nie chce, bo, trzeba ci wiedzieć, kawalerze, że wypadek ten obalamucił

trochę władze umysłowe pani Olimpii. Gniewa się na mnie, ale nie gniewa się na

twą matkę, i sądzę że niema racyi, aby ciebie dobrze widzieć nie miała.

Potrzeba, abyś się starał przypodobać pani Olimpii. Nietylko do tego skłaniać

cię powinien afekt familijny, ale jeszcze i inna ważna okoliczność.

Siostra jest

bardzo bogata i jeśli i ty nie zdołasz łask jej sobie zaskarbić, to może być

bardzo łatwo, że to co się nam słusznie należy, w obce pójdzie ręce, jeśliby

pani Olimpia nie zapomniała i w ostatniej godzinie urazy do mnie...

Tu babka urwała, a wyglądała bardzo zmęczona i strapiona. Dwie duże łzy stanęły

jej w oczach, ale nie spłynęły po policzkach, tylko zaschły pod powiekami. Po

dobrej przerwie, zaczęła, nie wiążąc słów swych z urwanym wątkiem myśli:

— Pani Olimpia ma apartament i żyje wygodnie, ale zdaje mi się, że zerwała ona

od lat wielu wszelkie światowe stosunki. Biedna! naturalnie zerwała sama, a

inne, nowe! zerwał los. Bywa jednak u niej codziennym gościem pan kapitan Wojda,

z którym jestem w korespondencji czasami i do którego ci dam list polecający,
aby cię siostrze zarekomendował, Zdziwienie uwydatniło się na mej gwarzy i to spostrzegłszy babka, zaraz dodała:
— Bo to widzisz, Olimpka nie poszła, tak jak ja, jak inne. z prądem epoki. U niej wszystko tak, jak było w zwyczajach i użyciu za księcia Józefa i w tych czasach. Zanadto mnie boli, obszerniej ci o tem mówić. Zresztą powiedziałam ci wszystko i czuję się bardzo znużona. Me mówiłam o tem od dawna... Jeśliś czegoś jeszcze ciekawy, to się z czasem dowiesz, czy domyślisz. Kapitan Wojda wcale do rzeczy człowiek, choć i to Napoleończyk i pewne dziwak i fanatyk. To ludzie, co się stosują do epoki; są i inni... Tu babka skończyła i więcej do tematu tego nie powróciła. Ja zaś opuściłem ją pod dziwnem wrażeniem ciekawości, wydobywającej się z pod przygnębienia moralnego, jakie mnie podczas opowiadania babki ogarnęło. Smutek jej udzielił mi się, a w wyobraźni stanęły mi żywo moje młode lata, w których odkryłem tajemniczy portret "pięknej pani". Przypomniała mi się podsłuchana rozmowa powiernicy babki z moją matką. Ale wszystko, przy pomocy nawet tego co mi teraz babka opowiedziała, nie odsłaniało ani trochę tajemnicy, jaka panią Olimpię otaczała. Niczego domyśleć się nie mogłem z urywanego opowiadania matrony, w którym przebijał tylko ból z dawnej, lecz niezabliźnionej rany. Pani Olimpia nie przestawała być dalej dla mnie tajemniczym portretem, tem więcej ciekawym, iż przywiąza-na do niego rzeczywiście była jakaś dramatyczna historia, o której po tylu

latach moja babka mówić nie chciała. Szczególnie intrygowały mnie jej jakby
bezwiednie wypowiedziane uwagi o siostrze: — Olimpka była zawsze
egzaltowana,
idealistka i patryotka!
Zdawałoby się, iż w tych właśnie cnotach, trzeba było szukać le mot
de l'enigme.
Ale myśli te prędko się rozwiały, gdyż wybierałem się do Warszawy,
pełen
ciekawości ludzi i życia w dawnej stolicy. Jechałem aby się bawić,
aby widzieć
świat. Pani Olimpia którą miałem poznać, której rzeczywiście nawet
nazwisko było
mi obcym, choć babka ja zwała "de facto księżna Izydorową, "
urokiem swej
dramatycznej tajemniczości podniecała tylko interes tej podróży.
III. Na jednej z dawniejszych ulic Warszawy, stała wówczas kamienica
a raczej stary
pałac z podwórzem i oficynami. Realność ta nic się nie zmieniła od
czasów
Stanisława Augusta, prócz tego, że zabudowano ją od ulicy
wysokimi i modnemi
domami.
Minąwszy bramę, szło się przez długi jakby korytarz, powstały
między dwoma
kamienicami, a prowadzący na ścieśnione niemi dawne pałacowe
podwórze. Tu
dopiero odsłaniała się staroświecka budowlaniezawodnie będąca
przedmiotem dumy senatora czasów Augusta III, od którego ją
nabył pan podczaszyc.
Nie pięknem niestyłowem, nie imponująceni, lecz niezmiernie
ciekawem było to
domostwo, nietknięte kielnią od lat stu, A na mnie także zrobiło
charakterystyczne wrażenie, odbijając jaskrawiej, przy trzypiętrowych
budowlach,
których tyły zasłaniały mu widok na ulicę. Pałac niegdyś pana
podczaszyca, a

wówczas siostry mojej babki, zamknięty i ścieśniony, wyglądający
swemi drzwiami
i oknami na wysokie nowoczesne mury, robił wrażenie
niepotrzebnego, wyszłego z
mody i wzgardzonego antyka. Smutek wiał z jego ścian, na ciemny
kolor
pomalowanych, a opuszczenie wyzierało przez szyby, porośnięte mchem
od dołu,
popielate od kurzu, pokryte pajęczyną i wiekowym pyłem.
Budynek ten zasepiał sam przez się człowieka, przypatrującego mu się
badawczym
okiem, bo opowiadał całą smutną historię, jaką jest każda przeszłość,
jaką jest
starość.
Pałacysko wyrugowano na tyły z frontu, ścieśniono mu podwórze,
zamknięto mu
widok, odebrano mu światło i ujęto mu powietrza. Przypominało ono
tych
staruszków, którzy przeżywszy się, aby ludziom do koła nie
zawadzali, pozwolili
się zamknąć w najciaśniejszej izdebce swego własnego mieszkania.
Budowla była
jednopiętrowa, o niskich dolnych, a wysokich górnych oknach. Nad
nią wznosił się
olbrzymidach czerwoną cegłą kryty, którego jednostajność
przykrywała fasada główna, o
jedno piętro podwyższona, o trzech oknach i żelaznym balkonie. Na
szczytcie tego
frontonu wznosił się herb, wyobrażający podkowę, na którym
sterczała niegdyś
pięciopałkowa korona, a z której jednak tylko trzy gałki pozostały.
Pałac ten miał i boczne pawilony, odpowiadające frontowi, ale na te
tak
powchodziły kamienice swemi tyłami, że ich nic widać nie było.
Stanąwszy w pośrodku pozostałego pasa podwórza, starałem się
napróżno objąć
całość budowli, na której dachu uwijały się gołębic, odbijające swą
białością od

cegły. Nic nie zdradzało życia wewnątrz, nic go nie zdradzało nie tylko wtedy,

lecz zdawało się, że już od lat wielu.

Uważałem za niepodobne, aby siostra mej babki mieszkała w tych ponurych

komnatach, do których światło z trudnością dochodziło przez zakurzone podwójnych okien szyby.

A przecież tak mnie poinformowano! Tak mi opisała babka mieszkanie pani Olimpi.

Tak też mnie objaśnił stróż.

— Właścicielka mieszka — powiedział — w podwórzu, w "starym dworze". "Starym

dworem" nazwał ten dom, który sobie postawił kasztelan inowrocławski, aby mieć

gdzie wygodnie rezydować, gdy zjeżdżał na sejm do stolicy, lub gdy go król

powołał do swego boku. Śmiało wszedłem do wnętrza, składającego się najpierw z ponurej sieni,

mieszczącej schody prowadzące na piętro. Na prawo miały się znajdować drzwi do

mieszkania kapitana Wojdy.

Te drzwi zaraz zoczyłem i zapukałem do nich.

— Proszę! — odezwał się z pokoju głos silny i iście wojskowy.

Wszedłem i znalazłem się naprzeciw mężczyzny lat siedemdziesięciu, o

powierzchności powszedniej starych weteranów z czasów Napoleońskich. *

Pan Wojda był średniego wzrostu jegomościa o okrągłej twarzy, białych jak mleko

włosach, z białym starannie podmuskanym wąsem. Fizyognomia nie była pospolitą

wskutek nadzwyczajnej rumianości oblicza, odbijającej od białego zarostu.

Kapitan miał nadto nadzwyczaj ruchliwe, strzelające, ożywione małe oczy, które

wciąż zdawały się niejako "komenderować, jakby na polu bitwy.

Zmierzył mnie od stóp do głów i zawołał!

— Nie znam Waćpana!

Wręczyłem mu list od mej babki. Kapitan prędko przeczytawszy pismo, wskazał mi

dopiero krzesło, a nie wyjmując z ust długiego cybucha, dalej, z pewnej znacznej

odległości od oczu czytał raz wtóry papiery od mej babki.

Usiadłem na tę komendę i rozglądałem się po ponurej komnacie. Była to sklepiona

sala o niskich ścianach, bo arkady o dwa łokcie nad ziemią wybiegały z tychże,

umeblowane po staroświecku, zakop-cone dymem, ubrane w broń różne, i cybuchy, które razem pomieszczone stały po kątach i leżały po stołach.

— A więc Waćpan jesteś wnukiem siostry pani

Olimpii... bardzo mi miło... babka pisze, abym Waćpana przedstawił właścicielce

i starał się mu wyrobić pozwolenie bywania w "starym dworze".

Nic nie odpowiadałem, bo mnie i nieco onieśmielił komenderujący ton pana Wojdy i

zrazu nie rozumiałem znaczenia kilku jego słów.

Kapitan dalej ciągnął.

— Właścicielka... pani Olimpia — dodał, poprawiając się i siadając na krześle —

nie przyjmuje, jak zapewne panu wiadomo, nikogo od daty owego nieszczęścia,

które ją i mnie spotkało.

Nic nie rozumiejąc, wpatrywałem się tylko w twarz pana Wojdy, głęboko w tej

chwili zasepioną, a on dalej mówił:

— Jednakowoż, może zechce ona teraz przyjąć i poznać syna matki Waćpana, do

której nigdy nie miała, o ile mi się zdaje, urazy.

Zamyślił się i po chwili dodał.

— Tak... nie mogła mieć urazy, bo w roku ... Domyślając się, o co mniej

więcej chodzi, wtrąciłem nieśmiało.

— Moja matka wówczas była dzieckiem...

Tak — podchwycił kapitan — to salvuje Waćpana, bo gdyby nie to...
właścicielka,
pani Olimpia, jest kobietą z męskim... żołnierskim charakterem, a
my...

Urwał, popykał z fajki i nagle zawołał:

— Le courage à deux mains!

— Zerwał się z krzesła i komenderował;

— Courage Monsienr! naprzód! marsz! pójdziemy do pani Olimpui...
sama pora.

Wstałem i ja — i przyznam się szczerze, że mimo całej ciekawości, z
jaka

wchodziłem do "starego dworu", zmieszany byłem wstępem i
komendą pana kapitana

Wojdy, wzywająca do odwagi, choć on sam, jak prawdziwy
napoleończyk, dziarsko
wyglądał.

Ruszył naprzód, zostawiając cybuch w kącie, a ja postępowałem za
nim po

wytartych i wyżłobionych dębowych schodach. Echo niosło nasze
kroki het po

gmachu, a za każdym stąpieniem skrzypiały tafle posadzki startej
wiekowem

użyciem.

Staroświeczczyzna nietknięta, poczerniała w tym domu. Zdawało mi
się, że od lat

niepamiętnych ja pierwszy zakłócam memi krokami ciszę "starego
dworu". I

rysowała rai się w wyobraźni postać pani Olimpui, straszna wyrazem
swej boleści

i mściwości, wysuszona i zapleśniała w tem mieszkaniu, wiejącem
zimnem i powagą

zachowanego antyka.

Lekko pocieszony, uczułem silniejsze bicie serca, gdy kapitan uchylił
wysokie

drzwi prowadzące do apartamentu pierwszego piętra.IV.Kapitan

pozostawił mnie w dużym pokoju, a sam pobiegł w głąb mieszkania.

Salon ten odpowiadał pod względem archaicznym, całości "starego
dworu. "

Umeblowanym był w stylu pierwszego cesarstwa, ale to tak skrupulatnie, że oczy moje nie napotkały w nim ani jednego przedmiotu, któryby odnieść można do wcześniejszej, lub późniejszej daty. Najzimniejszym ze znanych stylów, jest "empire," najniesympatyczniejszym też z salonów, które mi się widzieć zdarzyło, był salon pani Olimpu. Gdyby nie to, że posadzka w nim była wywoskowaną i lśniącą, a kurze pościerane z gładkich i pustych stołów, skory byłbym do przypuszczenia, że do tej komnaty od r. nikt nie zajrzał. Napróżno moje oko szukało w niej choćby jednego przedmiotu, zdradzającego że do niej czasem ktoś wchodził, że ona była częścią mieszkania osoby żyjącej... Ale nie miałem czasu, na coraz bardziej zasmucającą refleksję, bo pan Wojda wnet drzwi uchylił i zawołał:

— Proszę Waćpana tutaj... do gabinetu. W sali niepalone i ciemno... przepomniła.

Przeszedłem więc do gabinetu, który tylko atmosferą różnił się od sali i w nim znów pozostawiony zostałem samemu sobie. Pokój ten wyglądał na część jakiegoś muzeum, bo tak w nim stylowa panowała harmonia, ożywiona pewną dozą uleciałego, lecz istniejącego tu kiedyś życia.

Gabinet pani Olimpii za czasów księcia Józefa, musiał nawet uchodzić za pełen elegancyi, kokieteryi, buduar niewieści. Na mnie zrobił on niewymownie oryginalne wrażenie; z trudnością, bowiem zdawałem sobie sprawę z terażniejszości, a czułem się coraz więcej przenoszony w czasy minione Księstwa warszawskiego i napoleońskich awantur. "Wszystko tu tchnęło epoką, w której ten

gabinet właśnie powołanym został do życia, w której, zdawało się, zmarł.

"Widzę go dziś przed oczyma i odczuwam wrażenia, jakich wówczas doznawałem —

wrażenia przykre, bo wciąż mi się zdawało, że zwiedzam mieszkanie zamknięte od dnia szczęścia dawno zmarłej osoby.

Pokoik ten był wysokim i kwadratowym, o jednym oknie i dwóch drzwiach. Ztąd

jedna ściana tylko wolna, stanowiła punkt główny umeblowania. W pośrodku niej

stała kanapa z mahoniowego drzewa, inkrustowanego jesionem, bronzem i perłową

macicą a przykryta perkalem białym w niebieskie kwiatki. Wysokie poręcze tej

kanapy tworzyły dwie harfy misternie ażurowo wyrżnięte. Nad nią, na haku

zakrytym draperyą z niebieskiej materyi, wisiało małe lustro w złożonych ramach.

Po obu bokach lustra wisiały dwa obrazy w orzechowych politurowanych ramach.

Jeden z nich przedstawiał kolorowany portret Napoleona z założonemi rękami, a drugi był

litografią i wyobrażał księcia Józefa w pełnym mundurze. Pod lustrem wisiało

kilka obrazków i miniatur w oryginalnych, szerokich, zagłębionych, złożonych ramkach.

Z jednej strony kanapy stała mahoniowa, kwadratowa kolumna, a na niej bronz

przeznaczony na bilety, wysoki, z wężami wijącemi się do koła postumentu.

Z drugiej strony kanapy opierała się o ścianę gitara, a o nią znów robota

kobieca, wyprężona na mahoniowych krosienkach. Robota ta była zaczęta,

przedstawiała kwiaty i liście, haftowane na niebieskim jedwabiu kiedyś, bo

wówczas był on już żółtym i obrzydliwie wypłowiiałym.
— Co to znaczy? — pytałem, doznając wrażenia formalnego
przestrachu w tej
katakumbie.

Ale idźmy dalej. Przed kanapą stał mały, okrągły stolik,
odpowiadający stylem
kanapie i dwa także krzesła, których tylne poręcze przedstawiały
harfy.

Na stoliku leżały nici tak ułożone, jak gdyby je był ktoś dopiero co
złożył,
ktoś taki, co je w dwóch rękach trzymając, pomagał drugiej osobie do
zwinięcia
ich w kłębek.

A i ten leżał na stole.

Oczy moje długo badały te nici, bo były one zżółkłe i wyglądały,
jakby się same
przez się w proch lada chwila miały obrócić. Prócz tego spoczywały na
stoliku rękawiczki, niegdyś białe, jelonkowe, jakich w
epoce tej, z której gabinecik pochodził, używali wojskowi. Te
rękawiczki bardzo
stare nie groziły rozsypaniem, co jednak sprawiało, że żadnego z tych
przedmiotów za nie na świecie nie byłbym się dotknął.

Ta robota rozpięta, ten kłębek nici i te rękawiczki, były jedynym
śladem życia w

tym pokoju, życia tak odległego, iż wyglądały na relikwie.

Prócz tego, mieściły się w gabinecie: wysoka mahoniowa szafka z
lustrem zaszłem

mgłą, charakterystyczny parawan wyklejony różnymi sztychami,
przedstawiającymi

sceny z głośnych za Napoleona wypadków.

Na ścianie zaś, naprzeciw kanapy, wisiał portret wyobrażający oficera
od ułanów

z czasów Księztwa Warszawskiego. Portret ten, przedstawiający
mężczyznę

naturalnej wielkości do połowy figury, ściągnął moją uwagę i
przykuwał ją długo.

W tem zamarłem otoczeniu, on jeden zdawał się żyć i spodziewałem
się, że mi

odsłoni tajemnicę tego archaizmu u pani Olimpii. Ale nie! Portret milczał. Ułan o czarnym wąsiku i malutkich faworytach, uśmiechał się z podbijającym serca niewieście wyrazem, a pięknym był w swym opiętym mundurze, z krzyżem na piersiach, w swym wysokim kołnierza, w ubraniu o lśniących guzikach.

Wpatrując się w twarz oficera od ułanów, który tak odpowiednio i na swoim tle wisiał, ocknął się dopiero, gdy jedne drzwi się uchyliły, i stanęła w nich pani Olimpia.

Wydała mi się ona wtedy tak niezwykłą i tak przerażającą, że chwilę przypatrywałem się jej oniemiały, nie ruszając się z miejsca.

Siostra mojej babki była wysoką, chudą niewiastą, o twarzy noszącej słabe ślady

piękności, głęboko ukrytej pod jej surowym wyrazem. Zrobiła mi efekt widma, co

sobie dziś tłumaczę, że cały "stary dwór" w owej chwili, swoją staroświeczczyzną pozbawioną życia, do takiego tylko wrażenia usposabiał.

Oprzytomniałem dopiero, gdy za sztywną i przygnębiającą panią, wsunął się pan

Wojda i zarekomendował mnie.

Pani Olimpia zbliżyła się do mnie i zaraz tak zaczęła:

— W dniu tym, przyrzekłam sobie nigdy nikogo z mej rodziny nie widzieć. Ponieważ

jednak w owym czasie kawalera nie było na świecie, nie złamię słowa, przyjmując

go w moim domu.

Tu podała mi rękę, którą ucałowałem z pewną niewytłómaczoną w moim wieku,

trwogą.

Sama zaś usiadła na kanapie, mówiąc sucho i ostro.

— Siadaj!

Na to wezwanie, chciałem usiąść na jednym z trzech krzeseł, które było więcej

wysunięte i zdawało się zapraszać do zajęcia na niem miejsca. Ale pani Olimpia zaledwie mój zamiar spostrzegła, czempredzej wskazała mi ręką

drugie krzesło, mówiąc.

— Siadaj tutaj! to jest jego miejsce... Pomieszany tą pierwszą niezręcznością,

zająłem wskazany mi stółek, w przekonaniu że tamten był siedzeniem kapitana. Ale

gdzież tam. Kapitan usiadł na trzecim krześle, a miejsce Jego" zostało pustem.

Dopiero wtedy nasunęła mi się myśl, że pani Olimpia mogła mieć męża, który na tem krześle zasiadał.

Zaczęła się dziwna rozmowa o rzeczach obojętnych, bo przez cały ciąg trwania

jej, gospodyni domu nie spytała mnie ani o moją babkę, ani o nikogo z rodziny.

Aby nadać inny zwrot konwersacyi, skierowałem mój wzrok na wiszący portret

wojskowego i już miałem zapytać, kogoby on przedstawiał, gdy kapitan trącił mnie

nogą i dał znak milczenia. Czułem, że coraz więcej tracę kontenans wobec tych

tajemniczości, które przywiązane już były do osoby pani Olimpu, zanim ją jeszcze

poznałem.

Milczałem więc i byłbym milczał bez końca, gdyby pani Olimpia nie zagadnęła mnie

nagle.

— Kawaler znasz historią swego kraju?

— Jakżebym mógł nie znać — odparłem ze zdziwieniem, które zdawała się ona

widzieć z miłym uczuciem.

Obróciła się do kapitana i dodała cicho.

— Wyrodził się. Nic nie rozumiałem, coby miały znaczyć: pytanie i uwaga, gdy stara pani powtórne zadała pytanie:

— A w historii, któreż momenta ci się najbardziej podobają? Jakaż epoka
najwięcej przemawia do twojej duszy?
W tej chwili wydała mi się inną, bo zwykły wyraz z tej twarzy zniknął,
a
zastępowało go ciekawe ożywienie.
Bez namysłu odparłem, iż podobają mi się czasy wojen
napoleońskich, czasy
bohaterstwa i zapału, w które bezwiednie w owej chwili stylem
apartamenta byłem
przeniesiony.
Niewiasta spojrzała na mnie podejrzliwie i bystro, a ja dalej
tłumaczyłem mój
entuzjazm do tej epoki.
Kapitan Wojda wnet mi przerwał ogólnikami, dotyczącymi tych
czasów i wszczęła
się rozmowa o ówczesnej historii. Pani Olimpia po krótkim
milczeniu, wzięła w
niej udział i jakież było moje zdziwienie, gdy powoli zaczęła się
ożywiać i
zapałać, mówiąc o Napoleonie i księciu Józefie, o Kniaziewiczu i
innych.
Przypatrywałem się jej z osłupieniem; siostra mojej babki bowiem
znała nietylko
doskonale historią tej epoki, ale osobiście też znała wszystkie wybitne
jej
osobistości.
W ożywionej dyspucie doszliśmy nie pamiętam już, z jakiego
wychodząc stanowiska,
do historii bitwy pod Lipskiem. Opowiadając jakieś epizody, które
byłem świeżo o tych zdarzeniach przeczytał,
spojrzałem na panią Olimpię i nagle urwałem. Stara pani bowiem
zupełnie znów
zmieniła wyraz twarzy. Pobladła, zeszywniała, oczy w słup postawiła
i drżała na
całym ciele, a wyglądała przerażająco i złowrogo.
— Wiem, cobyś kawaler chciał powiedzieć — zawołała trzęsąc się ze
wruszenia —

ale nie! nie! nie!... on wtedy nie zginął!
Nagle osłabła, opuściła rękę wzdłuż poręczy, oparła się i szepnęła.
— On żyje...
Głuche nastąpiło milczenie, z którego kapitan skorzystał, by mi dać znak wyjścia,
Wstałem więc i ucałowałem rękę pani Olimpii, która mi ani słowa więcej nie powiedziała, wyszedłem.
Gdy się znalazłem na pełnej ruchu i gwaru ulicy, odetchnąłem, choć przytomności zupełnej nie odzyskiwałem. Uciekałem przyśpieszonym krokiem ze "starego dworu",
a jakiś stęchły zapach jego komnat wciąż mnie ścigał.
Sam siebie pytałem, czy to nie był sen? sen, wywołany wspomnieniem z dzieciństwa portretu "pięknej pani"?
Jeśli to nie sen — myślałem — to postanawiałem sobie najsilniej, nigdy więcej nie odwiedzać siostry mojej babki, choćbym miał przez to stracić dziedzictwo "starego dworu".
V. Zapewne byłbym dotrzymał postanowienia, nie odwiedzenia więcej pani Olimpii, gdyby nie kapitan Wojda, który na trzeci dzień po mojej bytności w "starym dworze", złożył mi oficjalną wizytę.
Staruszek wyglądał wspaniale w swojej staroświeckiej czarnej czamarze i dużym halsztuku na szyi, ale nic a nic nie rozjaśnił mi tajemnicy, jaką we wszystkim wraz z panią Olimpią, zdawali się być otoczeni.
Na moje zapytanie, proszące go o wyjaśnienie mi, co by znaczyło zachowanie się dziwne "właścicielki", bo tak panią Olimpią nazywał, jako też niezrozumiałe jej dla mnie wspomnienie "o nim," nic nie odpowiedział, tylko mi się bystro i badawczo przypatrzył, i tak zagadał.

— Mówię waćpanowi nieszczęście! nieszczęście, które nas oboje spotkało i które dotąd całkowicie nie jest wyjaśnione. Ot, przybyłem, by primo szanownemu panu złożyć rewizytę, jak przynależy, na trzeci dzień i oznajmić, co mi właścicielka hm... hm... pani Olimpia poleciła.

— Cóż takiego?

— Oto — ciągnął dalej pan Wojda — mimo całego uprzedzenia, jakie... pani Olimpia żywi do swej ro-dziny, spodobałeś jej się waćpan. Mówi, iż masz w oczach i w wojskowym sposobie bycia coś, co jej przypomina...

Tu się kapitan mocno zakrztusił i jakby własnymi słowy przeraził. Widocznie się zapomniał i chciał coś powiedzieć o "nim," o tym tajemniczym człowieku, który, jak się już wtedy domyślałem, był osią obrotową niezwyklejch stosunków pani Olimpii.

Pan Wojda po chwili dalej zaczął.

— Otóż właścicielka prosi Waćpana, abys zechciał co niedziela u niej przyjąć obiad o godzinie pierwszej po południu. Nie potrzebuję panu dodawać iż to jest

fawor nie lada z jej strony. Od śmierci pułkownika Zakrzewskiego, nikogo nie

pamiętam na obiedzie u pani Olimpii. Babka pańska pragnie, byś waćpan wkradł się

w łaski siostry jejmości... hm... zobaczmy. Dużo zawiniliście, ale czas łagodzi

wszystko, mówią. W tem miej waćpan nadzieję.

Nagle machnął ręką i wstając, mówił.

— Ot! co to próżno gadać. Tajemnica pozostanie tajemnicą... wypadek tylko..

Przychodź waćpan w niedzielę na obiad i staraj się utrzymać opinią, jaką sobie

pani Olimpia wyrobiła. Sądzi, że i przed tobą rodzina utrzymała w tajemnicy

paskudny postępek...

— Ależ ja nic a nic nie wiem, nic! — zawołałem rozdrażniony tem obracaniem się w

błędnem kole, a bałem się sam nie wpaść w jaką ideé fixe, w jakiej pozostawać

zdawali mi się i kapitan i siostra mej babki.— Czas wyjaśni, czas! —

zawołał pan Wojda i pożegnał mnie z wszelkimi oznakami

ceremonialności, modnej za jego czasów.

Wizyta ta, pamiętam, znów rozstroiła moje nerwy.

Kapitan bowiem na innem tle, niż salony i gabinety pani Olimpji, nawet nie w

"starym dworze, " tylko w najmodniejszym owego czasu hotelu warszawskim,

sprawiał dziwne, ducha, a nie człowieka wrażenie.

Po krótkiej rozmowie z nim, zdało mi się dość długo, że się wczytałem w dobrze

napisana i intrygującą powiastkę ze starych czasów.

Doczekawszy się najbliższej niedzieli, udałem się na obiad do "starego dworu".

Zastałem w salonie i panią Olimpię i kapitana i jakąś starą jejmość, wyglądającą

na rezydentkę z dawnych czasów.

Pan Wojda zarekomendował ją, jako pannę wojszchankę, Lewicką, a pani Olimpia

głęboko westchnęła i dodała:

— Kuzynka jego.

Ten "on" nie przestawał mnie rozciekawiać do najwyższego stopnia, bo przy

obiedzie nawet, obok pani Olimpji leżało nakrycie, przed którym nikt nie

zasiadł.

Zaintrygowany tem próżnem miejscem, na które zresztą nikt nie zwracał uwagi,

zapytałem siedzącej obok mnie rezydentki, dla kogoby ono było przeznaczonem.Panna Lewicka bardzo się zmieszała, ale pani

Olimpia, która pytanie moje

usłyszała, odpowiedziała na nie.

— To jest miejsce "jego".

Nie było co więcej pytać. Od tej chwili nie wątpiłem, że mam do czynienia z

osobą pod pewnym względem opanowaną małym bzikiem.

Zastanawiała mnie tylko ta

okoliczność, iż zresztą pani Olimpia w niczem nie zdradzała zbroczenia

umysłowego. Do reszty zaś mnie obalamucili kapitan i rezydentka, którzy

smutnieli, ile razy tylko o "nim" była mowa.

Począwszy od tej niedzieli, przez kilka tygodni regularnie bywałem u pani Olimpu

na obiadach i nic naprzód nie postąpiłem w wyrobieniu sobie jakiegokolwiek

pojęcia o tajemniczym "nim".

Miejsce jego zawsze było nakryte przy obiedzie, a w saloniku na krześle nikt

nigdy nie siadał, ani nikt nigdy nie dotknął kłębka nici lub białych rękawiczek.

Pojmuje czytelnik, do jakiego stopnia to wszystko mnie rozciekawiało i drażniło.

W rozmowie, którą przeważnie w starym dworze prowadzono tylko o czasach

Napoleona i Księżtwa, chwilami wspominał to kapitan, to pani Olimpia o "nim", o

"jego" poglądzie na wypadki, o roli, którą w tem czy owem odgrywał.

Ten "on" więc żył w tych czasach i musiał prawdopodobnie dawno umrzeć —

myślałem.

Ale w takim razie zkadże to oczekiwanie go ciągle u ludzi, wyglądających na

zupełnie zdrowych na umyśle? Wprawdzie wszyscy mieszkańcy starego dworu robili wrażenie mumii z czasów

Napoleońskich, wprawdzie zamknęli oni swą żywotność z chwilą śmierci ks. Józefa,

chwilą od epoki mego opowiadania blisko czterdziestoma latami odgrodzoną, ale

poza tem byli to zupełnie ludzie rozumni i zdrowi.
Ten "on" więc, ta tajemnica gniewu pani Olimpii na moją babkę, to
głębokie
milczenie, które zachowywała o całej swej licznej rodzinie, tu
wszystko do
najwyższego stopnia mnie męczyło.
A tu babka, której najskrupulatniej donosiłem o każdym kroku moim
w "starym
dworze," pisała, bym się śpieszył, bym wyciągnął panią Olimpię na
rozmowę o
niej, na rozmowę, w którejbym mógł uzyskać jej przebaczenie dla
starej siostry i
rodziny.
Moja babka napisała raz wreszcie: — Spiesz się i z pomocą kapitana
weź się do
dzieła, dla którego spełnienia pojechałeś do Warszawy. Siostra cię
lubi, możesz
dużo i uwierzy ci prędzej, niż komukolwiek, żeśmy nic a nic nie
winni. Pomyśl,
że dwie moje już policzone, a przed śmiercią pragnęłabym uściskać tę,
z którą
się wychowałam, która mi jest jedyną z dawniejszych czasów mojej
tak odległej
młodości. Chciałabym choć raz jeszcze być w "starym dworze, " jak
go zowiesz, w
którym się urodziłam, w którym, zda mi się, widzę mych rodziców, w
którym są
wspomnienia wszystkich moich chwil szczęśliwych!" Łzy mi stanęły
w oczach, gdym
czytał ten list starej babki. Chciała, abym urzeczywistnił ostatnie jej
marzenie przed śmiercią, ja, co nic
jeszcze zgoła z otaczających mnie tajemnic nie rozumiałem i pojęcia
nie miałem,
o co w całych tych odwiecznych gniewach chodzi.
Babka zapewne przypuszczała, że mnie kapitan poinformował, a tu
kapitan jak
zaklęty milczał i zdawał się podzielać zapatrywanie pani Olimpu.
Bądź co bądź,

postanowiłem skorzystać z pierwszej sposobności, aby wprost z panią Olimpią o życzeniu mej babki pomówić. Czasu do stracenia nie miałem. Dnie obu siostr były policzone, a sposobności próżnobym czekał na wyjaśnienie rzeczy dzisiejszej w "starym dworze, " który zasechł, jak roślina pod szkłem w r. -ym schowana.

VI. Udałem się więc do kapitana z postanowieniem zażądania od niego wprost i bez ogródek, wyjaśnienia mi tajemnicy, jaka spowodowała poróżnienie się tyloletnie pani Olimpii z rodziną.

Mojej biednej babce, pragnącej przed śmiercią uściskać starszą siostrę, chciałem czempredziej donieść aby przybywała do "starego dworu".

Kapitanowi więc w rozczulających słowach, które mi wtedy same płynęły na język,

przedstawiłem po-wody, dla których gorąco chciałem przekonać, panią Olimpię o niewinności naszej

rodziny w dramacie, który tak dawno temu się rozegrał, a którego i treści nie znałem.

Pan Wojda głęboko się zamyślił i podając mi cybuch naładowany tytoniem, w tych słowach odpowiedź zaczął:

— Zapal Waćpan i słuchaj, bo to historia nie krótka wcale i zawiła.

Skoro ze

szczerości twych słów wnioskuje, że sam nic nie wiesz i jesteś tylko powodowany

gorącą chęcią uzyskania przebaczenia... hm... pani Olimpii, to ci powiem, co mi

wiadomo o tej sprawie.

Nie przerywałem kapitanowi, aby tylko go usposobić do jaknajdłuższego

opowiadania, z którego spodziewałem się dowiedzieć tajemnicy

"portretu pięknej

pani. "

Pan Wojda usiadł w głębokim fotelu i pyknawszy kilka razy z fajki, tak zaczął:

— Warszawa roiła się od mundurów i wojskowych. Błyszczała od szlif i kirysów, a na ulicach od świtu do nocy pobrzękiwały wypolerowane pałasze i złote ostrogi. W Warszawie wtedy żołnierz coś znaczył. Nikt tam się wtedy nie spojrzał na takiego, choćby jak waćpan młokosa, jeśli nie miał czaka na głowie, a szabli przy boku, jeśli nie brzękał ostrogą, a nie błyszczał kirysem. Na ulicach, w salonach, myśmy rej wodzili, a po kątach stali panowie i magnaci, dygnitarze i książęta, jeśli nie umieli dosiąść konia, przypasać szabli i rąbać nią na prawo i lewo. Kobiety za nami przepadały, na nas tylko zerkały, z nami tylko mówić, z nami płaszać, w nas się kochać chciały. Książę czarował wszystkie, ale książę wszystkim wystarczyć nie mógł — więc też i byle mundur go zastępował. Było to wtedy widzieć bal pod Blachą, lub w Błękitnym pałacu, lub też i pod karyatydami, albo wreszcie i gdziekolwiek. Sto par stawało do mazura, sto mundurów jaśniało wszystkimi barwami, kapało srebrem i złotem. Książę Józef na czele z śliczną Potocką lub Grabowską, a za nim generałowie, pułkownicy, kapitanowie, oficerowie, szli jak w wojsku, według rangi w płasy. A cóż to były za kobiety te wszystkie polki, których piękność przy mundurze dopiero nabierała życia i blasku? Gdzież się one podziały? gdzież się podziały te oczy, co podbijały, te czary, co oszałamiały? A wiedz waćpan o tem, że żadna z nich nie

byłaby się puściła w skoczego mazura z młodzieńcem, którego by
ramion nie
zdobiły złote szlify. Wstydziły się nasze damy tańczyć z fircykami we
frakach i
żabotach. Widziałem bardzo przystojnych mężczyzn, widziałem
książąt i panów,
ordynatów i magnatów, którzy ściany podpierali podczas gdy byle
oficerzyna
upadał ze zmęczenia w obrotach mazura czy polki. Tak mości panie,
były to czasy
szlif i ostróg! Szalały za nami najpiękniejsze kobiety. Bez nas nie było
obiadu,
nie było balu, nie było zabawy! Po dwie, po trzy kochało się w
każdym z nas, bo mundurów zabrakło dla hożych polek, które z całego
kraju pościagały na
wieść o zabawach w stolicy. W kął szli mężowie, w kął partya, jak wy
tam je dziś
zowiecie, przed byle oficerem, co umiał podkreślić wąsa i nosić
śliczny mundur.
Szalały za nami panny i mężatki, bo dobrze wyjść za mąż, nazywało
się wyjść za
tęgiego ulana, a warto rozkochać w sobie tylko oficera, co miał
"virtuti
militari" na piersiach i szramę od oka przez gębę do ucha.
Tu kapitan urwał: tchu mu już brakowało, zasapał się, a krew tak mu
uderzyła do
twarzy, że był jak pons czerwony. Długo też milczał i odpoczywał, aż
po dobrej
przerwie na nowo zmienionym tonem zaczął.
— W owym czasie jednym z ulubionych księcia Józefa oficerów, był
niejaki Feliks
Szyło, litwin. Książę nie podniósł się rano z łóżka, póki nie nadszedł
faworyt z
raportem, co się działo i dzieje w pułku. A był to tęgi chłopak, piękny,
jak się
już teraz nie widzi, nieustraszony, hulaszczy, do tańca i do różańca,
niezmordowany na polu ćwiczeń, niezmordowany i w salonie.
Majątku nie miał, ani

możnych krewnych, ani historycznego nazwiska, ale nikt nie miał
piękniejszego od
niego wąsika i nikt nie posiadał większych łask bohatera. To też
więcej
znaczyło, niż tamto.

Kapitan znów urwał, popykał z fajki i zaczął tonem, który zdradzał
sam przez
się, iż zamierza przystąpić do głównej części opowiadania.— Ten
Szyło był kapitanem w czwartym pułku ułanów i zarazem chwilowym
adjutantem
księcia Józefa, a ja zaś zastępowałem go, będąc nadporucznikiem w
tymże samym
regimencie. Jak książę minister Szyłę, tak znów on mnie kochał i
bezemnie obejść
się nie mógł. Ja z pułku spieszyłem codzień o godzinie ósmej rano do
kapitana, a
mieszkał tuż przy pałacu "pod Blachą, " zdawałem mu raport,
asystowałem jego
toalecie, poczem on znów nakładał na głowę swe lśniące czako i biegł
do księcia.

Książę bez Szyły a Szyło bez Wojdy, żyć niemogli. W ten sposób
wszyscy trzej
prawie wciąż razem byliśmy, bo podczas ćwiczeń, z obowiązku tak
wypadało na
balach i asambalach, bo książę, gdy z piękną Julią stawał do mazura,
wołał do
swego adjutanta: "Szyło za mną!" a kapitan znów mnie dawał znaki,
bym się opodał
niego trzymał.

Pan Wojda urwał, fajkę naładował świeżym tytoniem i pykając z niej,
długo przed
siebie patrzył, jakby przywoływał sobie na pamięć chwile dawno
uleciałej
przeszłości.

Nie przerywałem milczenia, choć łaknąłem dalszego ciągu
opowiadania; dotąd
bowiem nic jeszcze się nie dowiedziałem z tego, co mnie w owej
chwili jedynie

prawdziwie obchodziło. A kapitan zwykle małowówny, tym razem nie szczędził słów, które płynęły mu z ust, odtwarzając jego własnej wyobraźni rzeczy, do których myślą widocznie powracać lubił. Wreszcie na nowo się odezwał, i znowu innym tonem, jakby przystępował do świeżego przedmiotu w swem opowiadaniu.

— Tak stały rzeczy, gdy pojawiła się w Warszawie młoda, śliczna, bogata księżna Izydorowa. Nikt nie może mieć pojęcia o uroku tej kobiety, kto jej nie widział w oświeconym salonie, tańczącej z niewymowną, gracyą niemieckiego walca. Ściągała na siebie wszystkich uwagę, bo miała czarne jak kruk włosy, a niebieskie jak tureckie turkusy oczy. Piękności swej przeważnie, choć była i posażna, zawdzięczała małżeństwo swe z księciem Izydorem, o którego ubiegały się najdosłojniejsze panny kraju. Ale księżę Izydor był może najzacniejszym człowiekiem, lecz co do powierzchowności; co do dziarskości w sposobie obejścia, daleko mu było do naszych młodzieńców, księcia Józefa otaczających. Nie będę panu długo tego opowiadał, bo jak i co się stało dokładnie wiedzieć nie mogę.

Czy mój kapitan zakochał się w księżnie, czy ta w nim, tego nikt nie zbadał.

Prawdopodobnie miłość była zobopólną, bo łączyła najpiękniejszego mężczyznę z najbardziej uroczą kobietą. Pod koniec zimy r. , rozeszła się wieść w salonach i w pułkach, że księżna Izydorowa rozwodzi się z mężem, aby wyjść za kapitana Szyłę. "Wiary temu dać nie chciano, tem więcej, że sam księżę na rozwód nie przystawał; że rodzina księżnej jedna i druga, ogromny krzyk w całej Polsce

podniosły. I nic dziwnego, bo piękna księżna poświęcała wysokie stanowisko, z którego dumna była rodzina, dla młodzika, tylko kapitana czwartego pułku. Ale kobiety wówczas! Mości panie!

to był ogień i szal. A i czasy były inne. To też mimo wszystkich intryg i przeszkód, sprawa rozwodowa szła naprzód, bo ją popierał książę minister, rad przypodobać się księżnie i skory dogodzić ulubieńcowi. Pan Wojda tym razem zakończył, jakby już na dobre, jakby już nic więcej do powiedzenia nie miał. Przeczekawszy chwilę, widząc że się nie zanosi na dalszy ciąg, zawołałem przerażony:

— Cóż dalej kapitanie?

— Dalej — odparł starszek — dalej? nie wiem co się stało.

— Jakto?

— No tak — obruszył się pan Wojda — z początku r. rozwodu jeszcze nie było.

Szyło powrócił z księciem Józefem do Warszawy, a ja spocząłem dopiero w Toruniu.

Kapitan umilkł, ale już nie byłem panem siebie i zawołałem niecierpliwie.

— Ale cóż dalej?

— Cóż Waćpan chcesz, by dalej było?

— Księżna Izydorowa wyszła za Szyię?

— Nie wiem!

— Jakto? jakże to być może?

— Jesteś Waćpan w gorącej wodzie kąpany — pochwycił Wojda. — Co się stało w Warszawie, nie wiernipó pierwszy raz ujrzałem kapitana przy boku księcia Józefa, tylko przez dwie sekundy pod Lipskiem. Wiesz pan, co dalej się stało.

Tu kapitanowi łyzy w oczach stanęły i prawie płacząc, mówił:

— Zginął... utonął... patrzałem na to, ale już wtedy Szyły przy nim nie widziałem.

— Cóż się z nim stało.

— Nie wiem!

Po długim milczeniu, podczas którego kapitan rozmyślał, a w oczach mu wciąż łzy

błyszcząły, tonem błagającym zagadnęłam go jeszcze:

— Kapitanie!..

Ale on widocznie zrozumiał o co mi chodzi, bo nie czekając na zapytanie"

podchwycił:

— Nic nie wiem! żołnierskie słowo! Wróciłem do Warszawy po r. i zastałem

panią Olimpię tu, w starym dworze, tak, jakby dzisiaj. Spytała mnie tylko,

żądając odpowiedzi pod słowem honoru, czy nie wiem co się stało z Feliksem.

Odparłem, że nie wiem. Spytała jeszcze, czy byłem przy śmierci księcia.

Odparłem, że byłem...

— Cóż na to pani Olimpia! — zapytałam.

— Co? zalała się łzami. Wtedy jeszcze o łzy łatwiej było, niż dzisiaj, bo to

temu lat dwadzieścia i kilka — i zawołała: "A więc żyje, więc mi go zabrali!"

— Cóż dalej?

— Dalej? — odpowiadał już z niechęcią kapitan — wyznaczyła mi utrzymanie i

zazaądała, bym tu zamieszkał. Przystałem, bo dobrze już byłem pokieroszowany. Ot i jak Waćpan widzisz, czekamy, czekamy i może wreszcie się zjawi...

— Kto?

— Toć kapitan! jesteś Waćpan dziwnie niepojętny!

VII.A więc "on" to był kapitan czwartego pułku ułanów za Księstwa, Feliks szyło, o

którym ani pan Wojda, ani pani Olimpia nie wiedzieli, czy żyje.

Tyle się dowiedziałem po kilkotygodniowej bytności w Warszawie, prócz tego co

łatwym było do domyslenia się, a mianowicie że pani Olimpia posądzała swą

rodzinę o przyłożenie palca do zniknięcia kapitana Szyły.

Czy tak, lub czy inaczej było, sam nie wiedziałem, jak też nie wiedziałem, w jaki sposób rozwiązała się miłość ta z r. , czy księżna Izydorowa rozwód otrzymała, czy nie.

To wszystko pozostawało do rozwiązania, a tego wszystkiego nikt mi odkryć nie mógł, prócz samej pani Olimpii.

Jedynym faktem stwierdzającym, że prawdopodobnie rzeczy nie poszły dalej, jak mi je opowiedział pan Wojda, była okoliczność, że stara pani, której zresztą nikt w "starym dworze" nazwiska nie wymieniał, bo ja zwano właścicielką, lub panią Olimpią, zapisaną była w księgach miejskich pod rodzinnym nazwiskiem.

Zniknięcie Szyły bez wieści, było conajmniej, niewytłomaczoną zagadką.

Nie jeden uważany za poległego, czy od dawna przepadłego, żył gdzieś na obczyźnie i nagle się zjawiał. To samo mogło mieć miejsce i z kapitanem, tem więcej jeśli dwie rodziny interesowanymi były w zatarciu jego śladów.

Takie sobie wyrobiwszy przekonanie, pełne wątpliwości o tajemnicy "starego dworu" i portrecie "pięknej pani, " coraz częściej bywałem u pani Olimpii, aby się postawić z nią na stopie, pozwalającej mi dotknąć wprost tak delikatnej materii.

Raz wreszcie okoliczność przysłała mi w pomoc, i to w ostatniej chwili, bo babka moja się niecierpliwiła, jakby się bojąc końca swych dni.

Przyszedłem do staruszki i zastałem ją tylko samą, lepiej niż zwykle usposobioną; kapitan i panna Lewicka wyszli byli na miasto.

Korzystając z rzadko nadarzającej się sposobności, odrazu zacząłem od rzeczy i przedstawiłem jej gorące życzenie mej babki.

Nie pamiętam jak i co mówiłem. Dość że musiałem być wymownym, bo pani Olimpia, która na pierwsze wspomnienie o swej siostrze się zachmurzyła, powoli zdawała się rozczulać, a gdym wszystkie argumenta wypowiedział, tak zaczęła:— Jesteś młodym i nie tobie wchodzić w tak poważne rodzinne sprawy, które mają swoje ważne kozery. Ale jesteś mężczyzną, o ile zauważyłam, o szlachetnych uczuciach i przypuszczam, że wszystkie infamie mej względem mnie rodziny, są ci obce.

Uroczyście potwierdziłem słowa staruszki, która głęboko się zamyśliła.

Siedzieliśmy w gabinecie, ona na kanapie przed kłębkiem żółkłych nici, ja na krześle naprzeciw próżnego miejsca, przed którym leżały wojskowe rękawiczki.

Twarz pani Olimpii zwiędła i zbolała, pomarszczona i nosząca na sobie piętno strasznych cierpień, które uwydatniły jeszcze ślady jej piękności, młodziła, a okraszał ją dziwny, niebywały na niej, uśmiech błogiego wspomnienia.

Wreszcie tak zaczęła.

— Słuchaj! temu lat trzydzieści i kilka, tu przy tym stoliku siedziała młoda,

dwudziestokilkuletnia kobieta, szczęśliwa nad wszystko. A tu — mówiła wskazując

na próżne krzesło — siedział oficer od ułanów, ten!

Pani Olimpii twarz okrył tragiczny wyraz i wskazała na portret wojskowego,

wiszący naprzeciw niej na ścianie.

— On był narzeczonym tej kobiety, a ona poświęciła wszystko, aby z nim się

połączyć, poświęciła świetne imię, oddała dużą fortunę, zerwała z rodziną, aby

być tylko Jego". Ślub miał się odbyć za kilkatygodni, a na ten ślub z różnych powodów czekali lat trzy blisko, przecierpieli wiele, wiele... przeżyli straszne chwile rozłąki; ale wtedy zapomnieli o wszystkim, wtedy byli szczęśliwi.

Pani Olimpia urwała i zadumała się, aby po kilku minutach, zacząć słabym i cierpiącym głosem.

— Nieprzyjaciele zawistni jej i jego szczęściu, wszystkich sposobów używali, aby ich rozłączyć... Ale oni... oni...

Niewiasta urwała znów i z uśmiechem, z jakim czasem starzy umierają, przymknęła oczy. Nagle ocknęła się i zawołała:

— Było to dnia -go lutego roku, ona siedziała tutaj i zwijała w kłębek nici, które trzymał na rękach "on!" Zwijała je do tej oto roboty... do obozowej

poduszki dla niego. On jej opowiadał, jak jest szczęśliwy, a ona go słuchała i

nic nie mówiła, bo była zanadto... szczęśliwą. W tem!., ah! straszna chwila!

wpada żołnierz z pułku i woła: "Panie kapitanie, co tchu! Pułk wymaszerowuje do

Krakowa, w mieście alarm! księżę już na koniu!" On zerwał się, przypasał tylko

pałasz, zapomniał rękawiczek i wybiegł jak szalony, bo on był żołnierzem, on

życie księciu Józefowi uratował. W godzinę potem czwarty pułk, księżę Józef i on

opuścili Warszawę... opuścili na zawsze...

— Zginął — szepnąłem. Te słowa zelektryzowały kobietę, która już opuściła głowę i dumiała.

— Gdyby zginął! — zawołała — ale nie, nie! nikt nie widział jego śmierci, nikt!

nikt! Oczy jej przybrały straszny wyraz rozpaczony; trzęsąc się na całym ciele, powstała

z kanapy i zawołała:

— Oni! oni! moja rodzina, rodzina księcia wie gdzie jest, co się z nim stało.

Oni go kryją, oni!

Wysilona, opuściła się napowrót na sofę, a robiła w tej chwili straszne wrażenie

swą młodą w tym wieku rozpaczą.

Długie nastąpiło milczenie, po upływie którego przemówiłem, aby wytłómaczyć pani

Olimpii, że moja babka nic o kapitanie Szyło nie wie.

Pani Olimpia słuchała mnie z uwagą i widziałem, że słowa moje ją coraz więcej

przekonywają; czułem, że sprawę mej starej babki wygram.

Słuchała i nic nie mówiła, a ja wyszukując argumentów, wpadłem i na to

wspomnienie z dzieciństwa, jak babka moja nieraz wyjmuje portret siostry ze

szafy, długo mu się przygląda i łyzy roni.

Gdym tylko wspomniał o portrecie, wyraz przygnębienia zniknął z twarzy pani

Olimpii, a całe jej oblicze zadrgało niesłychaną ciekawością, graniczącą niemal

z szałem.

Uchwyciła mnie za rękę i trzęsąc się, a nie pozwalając mi więcej mówić,

konwulsyjnie dłoń moją ścisnęła, zachrypłym głosem pytając.

— Jaki to portret? jaki?

— To portret, zdaje mi się tego samego malarza co ten — odparłem

— wskazując na

wizerunek kapitana.— Jesteś tego pewny? — zapytała niewiasta, ale głosem tak strasznym swą trwogą i

tak cichym, że m zadrżał. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że jej coś tym

portretem odkrył, a co? nie wiedziałem.

— Pewny! — odparłem i opisałem portret, o ile go z dzieciństwa pamiętałem.

Stara pani nic nie odparła, tylko długo drżała i długo patrzyła przed siebie

błędnym wzrokiem.

Myślałem chwilami, że oszaleje; że jej stare serce pęknie, tyle bólu,
tyle
namiętych uczuć oblicze jej wyrażało.
Nie pojmowałem, a ona milczała, bynajmniej się nie uspakajając.
Trwało to z godzinę, która mi się wydała wiekiem, bo niepodobna
opisać, com
wycierpiał, przypatrując się temu dramatowi duszy, jaki oblicze pani
Olimpii
zdradzało.

— Cóż za nikczemność! — nagle z trudnością wykrzyknęła — więc
mnie przeczucie
nie myliło, więc on... on! może żyje, więc oni go... oni! ona! moja
siostra!

Pani Olimpia była już zupełnie wycieńczona. Długo siedziała na
kanapie
nieruchoma jakby zdrtwiała, tak długo, że chwilami zatrzymywałem
oddech w
piersi, aby słyszeć czy jeszcze serce jej bije, czy żyje.

Nagle obudziła się i podniosła głowę, odkrywając zmienioną starą
twarz, którą

dotąd odmładzały odnawiane wspomnienia.— Dzieją się wypadki —
rzekła cicho, bo siły ją opuszczały; — ty jesteś
niewinny, a ona? przeczucie mnie nie myliło...

Rzuciłem się do nóg pani Olimpii, aby rozbroić ją i zaręczyć za moją
babką,

Ale ona boleśnie się wykrzywiła, niemogąc przywołać uśmiechu na
usta i rzekła

stłumionym głosem:

— Ten portret był jego, jak ten moją własnością.

VIII. Napisałem do mej babki tegoż samego dnia jeszcze, aby
czempredzej przyjeżdżała

do Warszawy. Uważałem bowiem, iż pogodzenie i porozumienie, za
osobistem

widzeniem się tylko mogło nastąpić. Nie omieszkałem też jej donieść
o wypadku z

portretem, który wszystko w ostatniej chwili popsuł. Sądziłem że
wytłomaczenie,

jakim sposobem ten portret, który powinien był się znajdować u kapitana Szyły, znajdował się u mej babki, rozjaśni tajemnicę i urazy. Ale z drugiej strony, obawiałem się tego wyjaśnienia i nie wierzyłem w możliwość jego, bo jeśliby ten portret naturalną drogą dostał się mej babce, to dlaczegożby ona go ukrywała i dlaczegożby wreszcie mnie o wszystkim nie objaśniła. Na dnie wszystkiego coraz wyraźniej leżała tajemnica, mogąca być wyjaśnioną, lecz nie mogąca, jak sądziłem, doprowadzić do pożądanej ze wszech miar i z różnych względów, zgody. Chodziło o wykrycie kapitana. Wykryć go mogła moja babka, ale w takim razie, czyż mogłaby jej przebaczyć pani Olimpia, czekająca na swego ukochanego lat tyle, czekająca z uczuciem graniczącym ze szalem. Wyrzuty nie dawały mi chwili spokoju. Uważałem się za przyczynę rozjątrzonego złego i nie mogłem sobie darować chwili, w której o portrecie się dowiedziałem, jako też i chwili, w której mi przyszła fatalna myśl wspomnienia o nim. Wszak o tym portrecie babka mi nigdy nie napomknęła, wszak był on tajemnicą domową, którą w dzieciństwie wykradłem. Jeśliby więc zgoda nie nastąpiła, nietylko że musiałbym się uważać za przyczynę nieszczęścia, lecz nadto spadłaby na mnie odpowiedzialność za wszystkie onegoż skutki. Pani Olimpia, która dotąd nie miała pewności co do udziału swej rodziny w przeszkodzeniu do małżeństwa jej z kapitanem Szyło, dziś na podstawie portretu tylko mieć ją mogła.

Jeśli dawniej wyrzekła się swej rodziny i wydziedziczyć ją
postanowiła, cóż
mogła postanowić wtedy?
Choćbym chciał pominąć kwestyę sercową mej poczciwej babki, to
tutaj stawała
poważna kwestyadziejstwa po pani Olimpii, która umarłszy dla
świata w r. , okolicznością
tą, jak mnie kapitan objaśnił, tylko majątek swój znacznie
powiększyła.
Wizyta moja w "starym dworze" i rozmowa z panią Olimpią, po której
tyle się
spodziewałem, pogorszyła cały stan rzeczy. Tym myślom oddany
byłem nazajutrz
rano — i niemi na wszystkie sposoby dręczony gdy wpadł do mnie
zwykle spokojny
kapitan.
— Cóżże Waćpan wczoraj narobił na Boga? — zaraz zaczął
przestraszonym tonem. Toż
w tej jednej godzinie popsuleś to wszystko, nad czym lat dwadzieścia
pracowałem.
— Co? — wybełkotałem przerażony.
— Toż dwadzieścia lat wmawiam, choć żadnej na to pewności nie
mam, że Feliks
Szyło zginął pod Lipskiem, aby tylko salwować rodzinę Waćpana, a
tu waszeć
wyjechałeś wczoraj z jakąś tajemnicą, która jak... właścicielka mówi,
jasno
wykazuje, że wy jedni wiecie, co się z moim kapitanem stało.
Chciałem przerwać panu Wojdzie werwę, z jaką mówił, ale ten nie
pozwolił na to,
tylko dalej krzyczał tonem wzburzonym i rozdrażnionym.
— Wszystko przepadło! wszystko! Wyciągnął ku mnie swą dłoń i
uderzając w nią
palcami ręki drugiej, mówił z naciskiem na każdym słowie.
— Jeżeli czarne na białem nie udowodnicie, zkąd do was przyszedł
portret, na
który przysięgać mogę,żem go widział jeszcze w obozie pod
Dreznem; jeśli czarne na białem nie

udowodnicie, żeście się w niczem nie przyczynili do zerwania
upragnionego

związku pani Olimpii, jeśli nam kapitana nie oddacie!..

Tu kapitan, który wpadł w formalną furię, zasapał się, ale kończył.

— To nigdy nikt z waszej rodziny progu nie przestąpi "starego
dworu". Jak mnie

wasan tutaj widzisz. Ja sam będę w tem, aby właścicielka swoje
krocie oddała na

dziadów, abyście tylko złamanego szeląga nie widzieli.

Pan Wojda nieco się uspokoił, ale nie dając mi przyjść do słowa,
załamał ręce i

rozzewnionym głosem ciągnął.

— Toż trzeba być ludźmi z kamienia, aby trzydzieści i trzy lat,
pozostawiać w

niepokoju i trwodze, w szaleństwie, tę biedną kobietę, którą strata
zagryzła i

codzień gryzie...

Kapitan opuścił ręce i ciszej dodał:

— I wy jeszcze chcecie po tej zamordowanej kobiecie dziedziczyć? I
babka Waćpana

pisywała do mnie, bym jej wyrobił przebaczenie? I przysłano
Waćpana?

Milczałem pod wrażeniem słów kapitana jak zbrodniarz jaki.

Niepodobnem było

odmówić mu słuszności. Rodzina moja popełniła zbrodnię, sam
przyznawałem i

myślałem tylko, jakim sposobem aż do niej się posunęła. Tłumaczyła
ją wprawdzie

okoliczność, że nikt z niej w "starym dworze" nigdy nie był i nie
widział tego

grobowca, w którym pani Olimpia tylelat czekała śmierci. Musiałem
wyglądać bardzo zgnębiony, bo aż ulitował się

nademną pan Wojda.

— Waćpan nie nie winieneś! — zawołał; — wygadałeś się z
tajemnicy, której ci nie

powierzono, ale pomyśl sam, co robić. Jak Boga kocham, pragnałem,
by majątek do

was wrócił, ale dziś! dziś!.. Czy wiesz waćpan, że pani Olimpia może nie przeżyje wczorajszej rozmowy. Czy wiesz waćpan, że mi już dziś powiedziała: "Mój kapitanie, pomyśl też, co zrobić z fortuną i jak najlepiej ją przez pamięć "jego" rozdysonować. Dawniej to zwykle w takim razie odpowiadałem: "Jeszcze czas Dobrodziejko, jeszcze czas! jeszcze może sam kapitan co poradzi" ale dziś, dziś! co jej odpowiedzieć? Przepadło wszystko i lepiej by dla was było, gdyby nikt z was za życia jej, do starego dworu nie zajrzał. Możeby się było przewlekło i możeby właścicielka sobie była zasnęła w Bogu bez testamentu. Ale dziś... pójdzie wszystko na dziadów! Kapitan upadł na krzesło i myślał tak długo, aż się odezwałem. — Co robić? — Tu nic do roboty niema! — zawołał — ale! zapomniałem po co przyszedłem. Jejmość kazała mi waćpanowi powiedzieć, abyś więcej do niej nie zaglądał... — Jakto? nigdy? — Tak — podchwycił z widoczną przykrością pan Wojda — chyba, że... ale co o tem mówić... — Chyba? co? — Chyba — powtórzył kapitan — że przyjdiesz waćpan z czarnem na białem... z czarnem na białem, z kądem portret u babki jego. — To powiedziawszy, pożegnał się ze mną kapitan, jak gdyby mnie już nigdy zobaczyć nie miał, ze łzami prawie w oczach. Od drzwi powrócił jeszcze do mnie i dodał. — Polubiłem Waćpana: jesteś żołnierskie serce. Będę pamiętał, może się co da jeszcze zrobić. Byle teraz nieszczęście nie przyszło, bo teraz nic! Pani Olimpia

chora... bardzo chora... Żebyś mi był chód kiedy wspomniał o tym portrecie...

bodaj cię!..

Poszedł ku drzwiom i jeszcze mówił:

— Waćpan nie przychodź do starego dworu — mówił — chyba, że przyślą po niego

Jakóba; ale ja, może jeszcze zajrzę tutaj... zajrzę! bo mi będzie tęskno bez

Waćpana, zajrzę, choć w wielkim sekrecie przed jejmością.

To powiedziawszy wyszedł, zostawiając mnie w rozpacz.

IX. Tydzień cały czekałem na odpowiedź z domu. Ta nie nadchodziła i sam trawiony

byłem największym niepokojem — tem więcej, że i kapitan znaku życia nie dawał. A

zwłoka mogła być zgubną. Chiałem już wybrać się z powrotem do rodziny i sam uzyskać dowody, potrzebne mi do dokończenia zaczętego dzieła, jeśliby ono było możliwem.

Po głębszej rozwadze bowiem, na którą dość czasu miałem, odrzuciłem

przypuszczenie jakiegokolwiek winy mej babki w zaginięciu Szyły. Po tygodniu

daremnych wyczekiwać, gdy już traciłem wszelkie nadzieje naprawienia

popelnionego błędu, drzwi się uchylły od pokoju i stanęła w nich moja babka.

Tak byłem w owej chwili przejęty wypadkami, w których odgrywałem rolę, tak

spragniony wyświecenia tej tajemnicy i wygrania sprawy, że nie pozwalając babce

przyjść do słowa, pytałem ją gorączkowo, czy ma dowody posiadania portretu,

dowody zmywające z niej wszelkie podejrzenie.

— Mam! — odparła babka.

Dopiero ochłonałem i przywitałem się z ukochaną niewiastą. A dziwnie wyglądała

ożywiona podróżą, czy nadzieją ujżenia siostry, domu rodzicielskiego, osób i

kątów, których nie widziała blisko lat czterdzieści.

Nacieszywszy się nią, zapytałem dopiero, jakie są te dowody; babka na to tak

odpowiedziała:

— Dowody są niezbite, ale i teraz, jeśli tylko mogło się obejść bez ich

pokazywania, to tak wolę. Pomyśl tylko, jeśli biedactwo w niepewności co do losu

swego narzeczonego, tyle lat w takim strapieniu, w waryactwie prawie żyło, cóż

to będzie, gdy się dowie?... — Więc kapitan nie żyje? — zawołałem.

Babka nic nie odpowiedziała, tylko wstała, mówiąc:

— Chodźmy! chodźmy do starego dworu!

Ruszyliśmy, a podczas gdyśmy szli przez ulice, prowadzące do odległej realności

pani Olimpii, babka dziwnie ożywiona, jak dziecko rozmarzone, wciąż

szczebiotała.

— Mój drogi, więc teraz pałac nazywa ją starym dworem. Pomyśl! ja lat

dwadzieścia nie byłam w Warszawie, nie mogąc przecierpieć niewidzenia jej w tem

mieście. Czy uwierzysz? ja raz, będzie temu dwadzieścia i kilka lat, ja byłam w

starym dworze, to mnie Olimpka nie wpuściła do pokoju... Cóż miałam robić?

wolałam to, niż jej wyjawić prawdę; gdyby była zupełnie zwaryowała, gdyby... a

tak czekała... Czy myślisz, że dzisiaj?

— Myślę, że woli dziś wiedzieć prawdę.

— Tak myślisz! Bógby dał, a może się obejdzie po tylu latach. Gdy się dowie, że

jestem, że raz drugi przybyłam... może.. Bo pomyśl, gdyby ona dowiedziawszy się

zwaryowała, lub gdyby nie przeżyła... ale co robić? ja muszę ją widzieć, ja

muszę... Tu chodzi o was, o ciebie, o tyle wnuków... ona zawsze była tak dobra.

I mówisz, że Olimpka nie zawsze dziwaczy, że tylko te nici i te rękawiczki? A ja myślałam, że to gorzej. I nic nie wiesz, co się od tygodnia stało, nic? Mój Boże, żeby tylko... Tak wciąż gwarzyła, nie czekając, ani żądając mojej odpowiedzi, aż doszliśmy do starego dworu.— Jakże się to zmieniło! Dawniej tu było podwórze — mówiła babka, nie rozglądając się nawet, bo jej tak pilno było i tak spieszno, że słyszałem uderzenia jej starego serca — jakże się to zmieniło! a jest ogród z tyłu? A gdzież okna Olimpki? — Od ogrodu! Dopiero babka ustała, gdyśmy się znaleźli na schodach. Tak była rozrzewniona, że już słowa wymówić nie mogła, a kilka razy przystając, odpoczywała, bo jej nogi jak dziecięciu drżały. — Tu się nic nie zmieniło — szepnęła tylko w połowie schodów: dawniej to uchodziło za tak ładne, a dziś tak smutne... Na odgłos dzwonka wybiegł z apartamentu kapitan i poznawszy mą babkę, której się domyślił, stanął jak wryty. — Nie bój się kapitanie! — zawołałem — przychodzimy z dowodami. — Jeśli potrzeba, jeśli potrzeba... — dodała moja babka. Obejrzałem się, ale kapitana już nie było. Uciekł na dół, do siebie i nie dziwiłem się temu, tak bowiem obecność mej babki go przeraziła. Zostawiając ją w dużym, zawsze pustym salonie, odąłem się sam do gabinetu pani Olimpu. Zostałem ją siedzącą na kanapie, osłabioną i zmienioną. Spojrzała na mnie ze zdziwieniem i od razu twarz jej łagodna, przybrała ostry wyraz.— Co kawaler masz za śmiałość?.. — Moja babka jest tutaj — podchwyciłem cicho, wskazując na drzwi, którymi

wszedłem.

— Kto? zawołała pani Olimpia, wskazując i prostując się — kto? ona? ona tutaj? —

mówiła tonem, w którym drgała straszna uraza, latami nie złagodzona.

— Tak — szepnąłem przerażony, bo tak imponującą była w swym gniewie pani Olimpia

— ona sama... z dowodami.

— Z dowodami! — zawołała niewiasta — te dowody proszę; te dowody! Inaczej nie!

nie!

To mówiąc wskazała mi drzwi.

Wybiegłem; moją babkę zastałem siedzącą na krześle przy drzwiach, zestraszoną,

bo dosłyszała słów swej siostry, która mówiła donośnym głosem.

Wyjęła też z

torebki jakiś papier, zwinięty w formie listu i podawała mi go.

Bezmyślnie

uchwyciłem tenże i pobiegłem z nim do pani Olimpii. Ta nerwowym ruchem wyrwała

mi list, zanim zdołałem go jej wręczyć.

— To pismo jego! — zawołała i czytała. Czytała uważnie, a w miarę posuwania się

w lekturze, oblicze jej młodniało, choć łzy sączyły się, jedna po drugiej z ócz

i spadały kroplami, jak grochy na papier. Śledziłem jej twarz dziwnie zmienioną i

zdawało mi się, że list ten ją napełniał radością. Nie zrozumiałem nic zgoła z

tej metamorfozy, która się odbijała w wyrazie twarzy niewiasty, i bałem się, czy

nie sprawdzą się obawy mojej babki, czy jej siostry zmysły się nie pomieszają.

Ale nie. Gdy skończyła, upuściła pismo na ziemię i zawołała wśród łez:

— A więc zginął! zginął!

Rzuciła się ku drzwiom, prowadzącym do salonu, ale opromieniona szczęściem, choć

płakała rzewnymi łzami, jak młoda.

Uchwyciłem pismo i czytałem.

"Paryż dnia marca .

Pani! Wolą księcia Józefa było nie opuszczać cesarza Napoleona, jak w

powodzeniach tak i w nieszczęściu. To też po bitwie pod Lipskiem, po utonięciu

księcia w rz. Elster, aby spełnić jego ostatnią wolę, choć serce mnie ciągnęło

nazad do Polski, poszedłem z tymi, którzy dali się porwać wymowa największego

bohatera i zostawiając Ren za sobą, opuszczali dom, rodzinę, kraj, wszystko! —

Odciałem się wślawić, aby więcej być godnym tej, która na mnie w Polsce czekała,

chciałem powrócić okryty bliznami, ale i sława, któreby ona umiała ocenić.

Wszehmocny inaczej chciał. W strasznej bitwie pod Paryżem, kula armatnia urwała

mi nogę i dziś ze szpitala, mając tylko kilka dni, a może kilka godzin do życia,

szłę te kilka słów przez pewnego człowieka, który pani odda także wraz z tym

listem portret "jej", najdroższy skarb, jaki posiadam i który mnie do śmierci

nie opuścił. Wiem, jakie uczucie zdołałem obudzić w sercu jej siostry, i dlatego

na pani ręce składam tę drogąmi pamiątkę, przekonany, że postarasz się pani, aby zniosła ona cios ten tak

mężnie, jak ja dziś znoszę myśl, że już nigdy nie zobaczę tej, która była

gwiazdą najszcześniejszych chwil mego życia...

Dalej nie czytałem, tylko wybiegłem z gabinetu ku drzwiom salonu.

W komnacie obie siostry stały, trzymając się zobopólnie w objęciach i szlochając

głośno z rozrzewnienia.

X. Obie siostry żyły jeszcze dość długo i już się nie rozłączyły.

Wybrały się one

nawet do Paryża, dla odszukania grobu kapitana czwartego pułku,
ułanów, Feliksa

Szyły.

I odnalazły go.

Ktoby nie chciał wierzyć mojej opowieści, niech odszuka na ulicy
miejsce

"starego dworu", niech spyta kogokolwiek ze starszych mieszkańców,
czy nie

pamięta właścicielki tej dziś zabudowanej realności.

Odpowie mu tenże, iż pamięta doskonale dwie stare panie,

nadzwyczaj typowe,

uosabiające czasy Księstwa, jak co dzień o -mej rano wychodziły ze
"starego

dworu" i dążyły na mszę do św. Krzyża. Opowie mu dalej, iż jedna z
tych pań

nosiła wieczną żałobę po narzeczonym, który zginął, a którego
śmierci długo nikt

stwierdzić nie mógł. Opowie mu, że te dwie panie znanymi były przez
ubogich

całej dużej ulicy i opowie mu, że na obliczu jednej z nich czytało się
całą

tajemnicę tragicznej historii.

Jedną z nich była moja babka, a drugą pani Olimpia, której portret jest
u mnie.

U SCHYŁKU.

W dużej sklepionej sali widnieją białe postacie zakonników. Sala ta,
to

refektarz.

Wzdłuż ścian, ozdobionych portretami wspaniałej postaci przeorów i
otyłych

opatów, biegną lśniące dębowe, stylowe ławy.

Pięć zagłębionych we framugach staroświeckich okien, oświeca tę
dziwnie smutną,

średniowieczny komnatę.

Misterne sklepienie, płaskimi łukami wspartena kolosalnej grubości
murach,

zdaje się przygniatać i ścieśniać powietrze, napęniające tę salę.

Zimno tu wieje od kamiennej posadzki, od szarawych ścian, od gładkich, długoletniem użyciem wypolerowanych stołów i ław. Smutek tchnie z tych martwych i z tych żywych białych postaci, wyglądających to z płócien portretów, to przesuwających się na tle szarych ścian. Jakaś zgoiła atmosfera panuje w tej sali, powstała z mieszaniny odwiecznej wilgoci w tych odwiecznych murach, z pleśni nieruszanych nigdy ksiąg w klasztornej bibliotece i z rdzy, pokrywającej okucia i zamki drzwi, ankry spinające sklepienia i ściany...
Ponuro tu, duszno i czczo. To też otyły zakonnik, siedzący w jednym kacie na wygodnym gdańskim krześle, drzemie i co chwila opuszcza głowę na piersi. Ruch ten mimowolny znów go budzi, a wtedy wargi jego poruszają się przez chwilę, jakby machinalnie szeptaną modlitwą. Nie on sam jeden jednakże ożywia szeroką przestrzeń tej sali, któraby wygodnie pomieścić mogła więcej niż sto osób. Pod krucyfiksem, wiszącym w pośrodku jednej z krótszych ścian, siedzi mnich zamyślony. Oczy wlepił w tafle zużyte kamiennej posadzki, ręce założył na piersiach i duma, zaciskając bezwyraziste usta. Często wydobywa on z kieszeni swej sutanny tabakierkę, zażywa z niej czarnego proszku i kicha po kilkakroć... a wtedy rozpogadza się jego oblicze i jakaś błogość okrasza wzdęte policzki. A tam na ławie pod portretem opata, który przebłogim wyrazem od stu lat uśmiecha się w tej sali do swoich następców, siedzi chudy i mizerny na twarzy człowiek, o zżółkłej cerze, odbijającej jeszcze bardziej od jego żółtawego habitu.

Oparł głowę na rękę i czyta w grubej, w brązowa skórę oprawnej księdze. Czyta, lecz choć oczy jego nieruchomie spoczywają na zadrukowanych grubemi czcionkami kartach, on taki ma wyraz, jak gdyby się głęboko zamyślił, lub też zasypiał nad treścią przeczytanego ustępu. Długą zaś ławę, umieszczoną między dwoma oknami, zajęło trzech mnichów. Twarze ich giną w cieniu, jaki panuje w tym miejscu. Może oni to miejsce sobie obrali, aby lepiej ukryć wyraz swych rysów, lub spokojniej rozmyślać nad marnościami świata. Głęboka panuje cisza w tym zgromadzeniu. Przerwywają ją tylko częste, w regularnych odstępach po kolei wydobywające się z piersi mnichów westchnienia. Są one głębokie, ale nic chyba nie wyrażają prócz... nudy śmiertelnej. W żadnej parze tych zasepionych, przygasłych oczu, nie zdaje się jaśnieć głębsza myśl. Porozrzucani po dużej sali, wszyscy wydają się tylko znudzeni, bezwyraziste są ich oblicza, w pół martwe ich źrenice. Żadna z tych twarzy nic nie mówi, jak gdyby każda z nich była obrazem duszy, którą ta ciężka refektarska atmosfera przygniotła i zdusiła oddawna, od lat wielu — i na zawsze. Twarze tych zakonników są pospolite, przeważnie rozlane i zwiędłe, jeśli nie roztyłe, lub chorobliwie obrzękłe. Rzecz dziwna, ale zdają się oni wszyscy być podobnymi do siebie, jakby z jednej pochodzili rodziny, jak gdyby powietrze tego klasztoru, kształtujące ich dusze, ukształtowało i ich rysy. Tylko jeden mnich, w drugim kącie sali siedzący" odróżnia się wybitnie od swych braci.

Oparł głowę o wypukłość, jaką utworzyło w tym miejscu wybiegające
w trzech
lukach ze ścian sali sklepienie.
Przed nim na pustym stole leży mała, nowoczesna książka, w czarną
skórę oprawna,
złoconymi brzegami ozdobiona.
Ta odrobina złota razi swoim połyskiem w tej sali, bo prócz niej
wszystko tu
szare, proste, poważne.
Książka leży przed wychudłym mnichem otwarta, ale odgadnąć łatwo,
że on w niej
nie czyta.
Bystre oczyma wodzi po swych towarzyszach, a na jego młodem i
sprytnem
obliczu, wrażenia zmieniają się szybko jedne po drugich.
Piękną jest twarz tego zakonnika, uderzająca kontrastem całego
otoczenia, bo
jedynie ona wyróżnia się ożywieniem wśród kilkunastu nawpół
zmarłych
towarzyszy.
Wszyscy bowiem tak samo ubrani, tak samo wygoleni i tak samo
zdają się być
znudzeni. Zdają się nie żyć, ale jednako wszyscy wegetować.
On jeden tylko wśród nich zdaje się żyć — choć siedzi nieruchomie,
choć co
chwila opuszcza oczy na Lśniące złoconymi brzegami kartki książki,
jakby
skupiając myśli, które mu nasuwają jego towarzysze. Nie zważają oni
na niego, ale on śledzi ich widocznie, małemi, żywemi,
falającymi tajemnym blaskiem oczyma — śledzi wszystkich razem i
każdego z
osobna.
Zdaje się czasem przeszywać bystrem spojrzeniem na wskroś to tego,
to owego z
mnichów, którego właśnie sobie obrał za chwilowy przedmiot swych
rozmyślań.
Przegląda ich po kolei, zatrzymując wzrok na ich twarzach, dłużej, lub
krócej. A

co moment zatrzymuje się w tym przeglądzie, opuszcza oczy na książkę i zatapia się w zadumie.

Wtedy czasem jakiś nawpół szyderczy uśmiech przelatuje po jego wąskich i kształtnych ustach. Ale trwa to krótko, bo zaraz uśmiech ten znika i ustępuje miejsca jakimś poważnym myślom, kombinacjom i wnioskom. Ostre i subtelne jego rysy zdradzają wyteżenie umysłu; widocznie nader poważne budzą w nim refleksyę i głębokie uwagi nasuwają mu te otyłe i bez wyjątku prawie bezmyślne twarze braciszków.

Podchwytuje on każde westchnienie, dolatujące z różnych kątów sali, każde kichnięcie braciszka siedzącego pod krucyfiksem, każde mruknięcie mnicha drzemiącego i budzącego się co chwila nad pergaminową księgą. Zdawałoby się, iż każdy z tych ludzi jest dla niego przedmiotem osobnych studyów, rozważań głębokich i każdy inne podnieca w nim uczucia: troski, zabawy, żalu, lub ironii. Dziwnym wyrazem wykrzywają się jego rysy, ile razy podnosi oczy — i za każdym razem, gdy je spuszcza, inaczej układają się do zadumy.

Wreszcie z jego własnej piersi wydobywa się westchnienie — jakby westchnienie zwątpienia, jakby echo straszego, nagle zrodzonego, czy budzącego się w duszy zniechęcenia.,.

To westchnienie młodego braciszka budzi innych — tak odmiennem jest ono od tych, które wciąż odbijają się o mury klasztorne.

Cuci się i mnich, którego dotąd nie zdołały orzeźwić częste hausty tabaki.

Poprawia się na fotelu, kicha dwa razy tak silnie, że echo powtarza kichnięcie i

odbija je o zielonawe szyby okien, o kamienne płyty posadzki.
— Ho... ho!... — mówi swym tubalnym głosem — i brat Antoni coś
wzdycha:
niezawodny to znak, że pora obiadu nadchodzi. Śmiech powstaje w
sali, śmiech
głośny i ożywiony. Oczy wszystkich kierują się na brata Antoniego,
który ma
wyraz chmurny i bardziej jeszcze niż dotąd zniechęcony.
Udaje, jak gdyby apostrofy do niego wymierzonej nie dosłyszał, lub
jej nie
zrozumiał.
Braciszkanie jeszcze się śmieją, a otyły mnich z zadowoleniem
zażywa znowu
tabaki.
— Hm... hm... — odzywa się głos jednego z braciszków, siedzących
między oknami —
brat Antoni westchnął w samą porę, bo słyszę jak w kuchni zegar wali
dwunastą.
Budzi się i mnich siedzący nad pergaminową księgą i zamykając ją,
dodaje:
— A przeor sam dzisiaj robi przyprawę do ryby?..
Brat Antoni zamknął także swoją małą książeczkę o wyzłacanych
brzegach.
Nieokreślone spojrzenie rzuca wokół po mnichach, zaciska usta na
których igra...
czy szyderstwo?... czy wyraz cierpienia?..
Cicho wstaje i wysuwa się z sali niepostrzeżenie. Nikt nie zwraca na
niego
uwagi, bo w tej chwili w refektarzu szmer powstaje i zamęt.
Mnichy opuszczają miejsca i przeciągają zmęczone kilkogodzinnym
siedzeniem
członki.
A z korytarza dochodzi odgłos kroków po kamieniach, brzęk
popękanych talerzy,
rozluźwionych widelców, noży i cynowych łyżek.
Wszystkie twarze się ożywiają, w tej dopiero co tak ponurej i zamarłej
sali.

Wszystkie coraz podobniejszymi się stają do uśmiechniętego portretu opata, ostatniego opata z przeszłego stulecia. II. Ponura Cela o jednym oknie tłumi swem przygniatającym sklepieniem szepty dwóch ludzi.

Jednym z nich jest brat Antoni, drugim młody mężczyzna, modnie i starannie

ubrany, o inteligentnej twarzy i myślącym czole.

Już długo z sobą tak cicho rozmawiają, jakby się bali, aby słów ich nie powtórzyło echo i nie rozniosło po pustych krużgankach gmachu.

Oczy brata Antoniego błyszczą gorączkowo, a ceglaste wypieki rozszerzają się

wciąż na bladych, wychudłych policzkach.

Tłómaczyć coś usiłuje przyjacielowi, jak to zdradzają niecierpliwe gęsta białej, delikatnej ręki.

Opowiada coś zajmującego, a twarz często mu się wykrzywia rozumnym, lecz

sarkastycznym i bolesnym uśmiechem.

Aż nagle ożywiając się, tak ciągnie: — Wszak nieraz ci mówiłem, jak gorąco

pragnę być pożytecznym społeczeństwu w zakresie, w którym mnie los postawił.

Marzeniem mojem jedynem dziś jest, zreformować ten zakon pogrążony w bezmyślnej

apatyi, stęchły i spleśniały, obumierający powoli, jak owoc bez światła, ciepła

i powietrza! O tej reformie jednak mowy być nie może, dopóki nie zostanę

przeorem, dopóki nim będzie niedołączny i zdziecinniały sta-rzec,

który klasztor uważa za wygodne asilum dla ludzi, chcących gnuśnić w

obrzydłym próżniactwie, pod pozorem chwały bożej....

— Bądź cierpliwym, — odpowiada mu jego towarzyszy, — biskup mi uroczyście

obiecały skorzystać z pierwszej sposobności, aby ci dać przeorstwo.

Niedługo

będziesz czekał... Ale czyliż to przeorstwo w klasztorze,
gromadzącym kilkunastu
ciemnych mnichów, dopomoże ci do zrealizowania tych celów i
górných pragnień?
— Czy?... — odpowiada, powtarzając zakonnik — sam nieraz wątpię.
Ale wpierw,
zanim ręce opuszczę i zgodzę się na to bezcelowe życie, muszę
spróbować
wszystkich sposobów, aby wypełnić zadanie mego ścieśnionego
żywota. Reguła mego
zakonu ma względnie szerokie i użyteczne pole działania.
Gnuśniejący od. stu lat
zakonnicy, powoli odżyją nowem życiem i wezmą się do pracy,
czekającej rąk lub
głowy każdego z nich. Zreformowanie, odrodzenie tego klasztoru, do
którego mnie
los zapędził, uważam za święty obowiązek, który mi kiedyś pozwoli
spokojnie
umrzeć w tej celi. Pragnę jak najprędzej wziąć się do dzieła, bo mi
tutaj duszno
i ciężko, bo beczynność umysłowa i fizyczna, jest rai wstrętną i
zabija
mnie....
Mnich mówi z zapałem i świętym ogniem w oczach, ale przyjaciel
jego mu przerywa
z desperackim gestem ręki, wykrzykując:
— Człowieku! Powiedźże raz na Boga, co cię skłoniło do zamknięcia
tylu sił
żywotnych, tylu aspi-racyi, w tych czterech zasklepionych ścianach?
Młodego, uzdolnionego, cóż cię
skłoniło do szukania pola pracy dla społeczeństwa, w kongregacyi
opartej na
średniowiecznych pojęciach i istniejącej może dziś tak długo tylko,
póki jej
ostatni członkowie nie wymrą?... Mów!...
Brat Antoni nie odpowiada, tylko twarz zakrywa obiema rękami i
zatapia się w
krótkiej, gorączkowej zadumie.

Nagle otrząsa się i odsłaniając piękne i wyniosłe rysy, mówi:
— Gdyśmy się w szkołach rozeszli, daleki byłem od szukania murów klasztornych
dla swych sił żywotnych, jakkolwiek to ciche życie zawsze miało dla mnie wiele
uroku. Raz... pamiętasz? urządziliśmy w szkołach w Krakowie majówkę na Bielany i
tam zwiedziliśmy słynny klasztor Kamedułów. Miałem wówczas lat ośmnaście, byłem
wrażliwym i idealistą. Ci mnisi wtenczas dziwnie przemówili do mego serca i do
mej wyobraźni. Pamiętasz tego przeora, na którego obliczu jaśniała taka pogoda,
ale taka pogarda dla świata, taka inteligencja i taka szlachetność?...,
Wtedy nie
rozumiałem tego człowieka, nie pojmowałem go, po co się zamknął w celi ze swem
wyniosłem czołem, ze swem bystrem okiem.... Spytałem go o to, a on uśmiechając
się pobłaźliwie i boleśnie, wyrzekł te słowa: "Mój synu, są chwile w życiu
człowieka, w których taka wysoka góra wśród lasu ze swemi cichymi murami na
szczytce, jest jedynym dla niego przytul-kiem." Nie rozumiałem wtedy słów tych, jak nie rozumiałem klasztorów i
pojmowałem je tylko ze stanowiska owiewającej je poezyi wieków średnich... Nie
rozumiałem ich i bodajbym był nigdy nie zrozumiał!...
Zakonnik urywa i opuszcza głowę na piersi, a bezmierna boleść wykrzywia jego
delikatne usta.
— Mów dalej! — podchwytuje po chwili jego przyjaciel, widocznie zadowolony.
— Dalej? dalej? — pyta brat Antoni szyderski i ciągnie: — I na mnie przyszła ta
chwila, w której uporczywie mi stanął w wyobraźni ten przeor Kamedułów na

Bielanach... I dniem i nocą kusił mnie, bym jego poszedł śladem. Ot,
tak to
było...

Tu mnich podnosi głowę, otrząsa się z gnębiącego smutku wspomnień
i mówi:

— Po wielu zawodach, po wielu rozczarowaniach, którym natury
bardziej, niż moja,
poddającej się, chyba nie było na świecie, los oświecił jakby
promieniem światła
moją zbolełą duszę. Gdy już pogodziłem się z myślą, że okoliczności
ludźmi
rządzą, a nie oni niemi; gdy ugiąłem czoła przed wypadkiem, który
zdaje się być
największym panem świata; gdy wreszcie po wielu cierpieniach
zgodziłem się na
przyjęcie życia takim, jakie mi przypadnie w udziale z ręki ślepej
fortuny; gdy
zgnębiony i zwyciężony zwątpiłem... nagle zabłysło mi szczęście!...
Zakonnik urywa i po długiej chwili milczenia, dalej znów mówi
zmienionym głosem:— Zakochałem się szalenie w kobiecie, która
wskazawszy mi w tym źle urządzonej
świecie piękne drogi, nauczywszy mnie siłą swego gorącego serca, jak
trzeba w
zimnych i złych ludziach odgrzebywać duszę, miała ze mną dzielić do
śmierci to
życie, które mi się wtedy wydało pierwszy raz uroczem, powabnym i
posłannictwem
pełnym...
Mnich opuszcza głowę i milczy. Milczy długo — aż towarzysz jego
przejęty tem
opowiadaniem, w którego tonie brzmi nuta spowiedzi nieszczęśliwego
człowieka,
szepcze: — Mów dalej.
Brat Antoni budzi się na te słowa ze swej zadumy, a boleść rozlewa
się po jego
obliczu.
— Dalej? — woła — dalej... nic niema! Dalej? ta kobieta umarła! a ja
czułem

dokoła siebie taką próżnię.. Ja, któremu świat zdawał się zawsze za
małym,
zaciasnym, uczułem dokoła siebie tak straszną próżnię, iż ta cela
wydała mi się
za dużą, gdym pierwszy raz i na zawsze do niej wszedł!...
Zamilkł. Obaj milczą długo.
Mnich przenosi się myślą w przeszłość, która dziwnie błogie marzenia
nasuwa jego
wyobraźni, oblicze jego się rozpogadza i traci swą zimną powłokę, a
towarzysz
wpatruje się weń wzrokiem bystrym, jakby chciał przesyć na wskroś
to zbolące
łono przyjaciela.— A... dziś?... — pyta tylko.
Na to słowo brat Antoni się zrywa:
— Dziś! — woła głosem rozdrażnionym i jakby pasując się z własną
boleścią, —
dziś?... Gdy zapomnę o tem co w owej chwili przecierpiałem, co mnie
tu w to
ciche ustronie zapędziło, gdy sprawdzam tę straszną prawdę życia, że
czas jest
wszechpotężnym olbrzymich nawet bólów pogromcą, to mi w tych
murach strasznie
ciasno!... strasznie duszno!... strasznie pusto!...
W tych ostatnich słowach jego przebija bezmierna rozpacz, która
dreszczem
przejmuje jego przyjaciela. W głuchej oba toną zadumie.
Pierwszy zrywa się mnich i biegnie ku oknu, otwiera je na rozcież, a
zwracając
się do gościa, mówi zmienionym głosem:
— Przepadło!... przepadło!.. Ale tak żyć bezużytecznie, tak bez celu...
tak bez
śladu... rozumiesz, że mi... trudno! Przewertowałem wszystkie
komentarze do
reguł mojego zakonu i widzę, że ten, co go założył, miał inna myśl,
niż tę w
jakiej tu istniejemy. Gdybym więc był przeorem... tobym wypełnił cel
mego
żywota, pobudzając do życia to ciało zamarłe od lat.. od wieków...

— Ale czyś się zastanowił — podchwytuje gość — że są ciała, które tylko w pewnej epoce, w tej mianowicie dla której były do życia powołane, żyć mogą?

Braciszka te słowa głęboko zastanawia i po chwili dopiero odpowiada na nie:— Tak... ale przecież cierpienie po wiek wieków zawsze istnieć będzie, a jeśli ludzie niem dotknięci żyć muszą, to niechże żyją, a nie trupieszają!...— Jeśli tak — nagle zagaduje wstając przyjaciel mnicha — to wszystkich wpływów użyję, by ci to przeorstwo jak najspieszniej zapewnić. Biskup... chciałby

naturalna drogą rzecz tę przeprowadzić. Dzisiejszy przeor ma lat siedmdziesiąt kilka, czy ośmdziesiąt nawet i.....

— Ależ to zdziecinniały starzec! — przerywa mnich — to zabytek ośmnastego wieku,

w którym klasztory były przytułkami.... kwestarza Chodźki....

— A czy myślisz, że dzisiaj to już nie jest ich powołaniem? — podchwytuje gość.

Zakonnik śmieje się boleśnie i mówi tonem nacechowanym siłą przekonania:

— Nie, mój przyjacielu! Póki świat światem a ludzie ludźmi, zawsze będą istnieć

bóle nieuciszone, niezabliźnione... Nie zbraknie więc ludzi takich, którzy ulgi

na te boleści będą szukać w ciszy i samotności... i znajdą. Zawsze będą istnieć

ludzie o siłach starganych w wirze życia, ale i siły stargane zawsze to siły

mogące przynieść jeszcze jakiś przecie pożytek krajowi.... idei... społeczeństwu... nauce... ziemi!

Słowa te zdają się płynąć prosto z duszy i brzmią taką siłą głębokiego przekonania, że wyraz powątpiewania ustępuje zwolna z oblicza

gościa.III.W obszernej celi będącej mieszkaniem sędziwego przeora, zgromadziło się kilku

zakonników.

Siedzą oni dokoła dębowego stołu, a przed każdym z nich stoi lampka rubinowego węgryna. Popijają go jak prawdziwi amatorzy, małemi haustami i kiwają nad nim głowami.

Na kanapie stojącej przy ścianie, między dwoma oknami, siedzi przeor, ojciec Hilary.

Staruszek to o nadzwyczaj sympatycznym obliczu. Błogi uśmiech niezamąconego niczem spokoju igra na jego pulchnej, rumianej i dziwnie czerstwej mimo wieku twarzy.

Ruchy jego są żywe, siwe jego oczy prawie figlarne, a wesołość gości wciąż na jego obliczu.

Z całej mnicha postaci wieje dobroduszość, cechująca dawnych zakonników, wynikająca z życia bez chmury, monotonnego jak klekot zegara, spokojnego, jak pogodny dzień późnej jesieni.

Staruszek coś opowiada... Lubi on nadzwyczaj opowiadać o przeszłości kraju, o starych dziejach zakonu, o czasach, kiedy to często-gęsto polski żołnierz wpadał do klasztoru, o owych latach, kiedy to on jeździł jako kwestarz po pałacach, dworach i zaściankach.

Mnichy słuchają, ale obojętnie, jak gdyby już te rzeczy znali i czasem tylko to

ten, to ów z nich wy-buch a stereotypowym śmiechem, a wtedy i inni się budzą, i zaśmiać się próbują.

Jeden tylko uważnie opowiadań przeora słucha — to brat Antoni. Siedzi on na uboczu, przy stoliku, na którym także stoi lampka węgryna.

Znalazł się tu on między nimi, zaproszony przez przeora na obchód dwudziestopięcioletniej rocznicy jego przeorstwa.

Ta młoda, myśląca, nerwowa twarz, dziwnie odbija od pogodnych,
rumianych twarzy
starych zakonników.

On słucha opowiadań przeora, ale tak uważnie chwyta każde słowo
wolno z ust jego

płynące, że chyba nie samą treścią ich tylko się bawi, ale z nich w
myśli

wysnuwa nieskończony szereg uwag i wniosków.

Te opowiadania zdają się go zajmować tak, jak pamiętniki odnoszące
się do epoki

studyowanej, zajmują historyka lub filozofa.

Przeróżne zmienne wyrazy przebiegają po jego wyschłej twarzy. To
odbija się na

niej zwątpienie, to nadzieja, to apatya, to ożywienie, to ciekawość, to
ironia...

Ale przeor nie widzi wrażenia, jakie słowa jego wywierają na
milczącym

braciszku, tylko się cieszy, ile razy mnichy zaszumią tubalnym
śmiechem.

Ożywiając się coraz bardziej, sypie wspomnieniami jak z rękawa, a
popija winem z

omszałej butelki i rumieni sięNagle, odwracając się do brata

Antoniego, mówi:

— Bo trzeba ci wiedzieć, mój młody braciszku, że szklanki piwa nie
wart jest

zakonnik, co nie był kwestarzem. Kwesta wyrabia mnichów, mocium
panie oliznajmia

ich ze światem, cywilizuje i poleruje, uczy jak obracać się między
ludźmi, uczy

rozumu w głowie, języka w gębie i konceptów, które jedną
klasztorowi

przyjaciół i dobrodziejów mocium panie. Odkąd biskup skasował
kwestarzy, to już

i niczego spodziewać się nie można! Kto inny skasuje i klasztory... bo
cóż tam

mocium panie po zakonnikach, co nie byli kwestarzami? Co mi tam
po tych rozumach

szkolnych mocium panie, tych uczonych modnisiów; co mi po nich i
po ich
uczoności, jeśli nie poznali panów i chłopów, nie nauczyli się
prawdziwej pokory
i odwagi... i podstępu i dowcipu...
Przeor urywa na chwilę i zamyśla się. Zażył tabaki i kichnął dwa razy,
aż lampki
na stole podskoczyły i znów podchwytyje:
— Oj źle, mocium panie, źle z naszemi klasztorami!... i te ciągle
zmiany reguł
fundatorów i świętych ojców, nic dobrego nie przyniosą. Kweskarz
był i klasztor
był, kwestarza nie będzie i klasztoru nie będzie, choćby i wciąż
przybywali tacy
jak Antoni, co wniósł zakonowi dużą mocium panie fortunę i rozum i
młodość i
stosunki. Po co to zmieniać odwieczne zwyczaje, z którymi się naród
zrósł? Po co
tochcieć robić z mnichów mocium panie, jakichś uczonych i ascetów?
Nasz klasztor
żyje, chwala Bogu, lat trzysta i nikt w nim nic nie zmienił, choć się
wszystko
dokoła zmieniło... i jakoś się do epok i ludzi nadawał. Tak Sobieski
mocium
panie, jak francuz Poniatowski, co to garniec mąki nosił na głowie... i
reformował Polskę, aż zreformował... klasztoru nie tykał. Jest, bo jest,
dobry
jaki jest mocium panie i basta!... Oj, tak, tak!... ostatni ja pono już
przeor!...
Zamyśla się i zaraz dalej zmienionym tonem opowiada:
— Ale mocium panie chciałem wam opowiedzieć, jak to w roku
trzecim po wyprawie
Napoleona do Moskwy, zajechałem kwestą do pana starościca
Dźwinogrodzkiego.
Możny to był pan, a mieszkał het... na kresach, tylko skąpy mocium
panie i
rządny, a dla klasztorów nie hojny, ho nas nazywał pasibrzuchami i
przeróżne

wymyślał koncepta. Otóż u tego jegomości nic kwestarz nie wskórał,
jeśli nie
umiał trafić konceptem w pański humor i wziąć go własną bronią.
Sadzili się
mocium panie Reformaci i Dominikanie, Kapucyni i Cystersi, ale
mało który z nich
wyjeżdżał z napełnionym wozem i powiększonym stadem za furą,
Tak, mocium
panie!... Przyjeżdżam ja tam raz, a staroście lubił mieć dużo osób u
stołu, to
też mnie rad przywitał i trzymał. A miał trzy córki dorodne, jak...
hoże, jak...
mocium panie, co im się za mąż nie trafiało, bo staroście był
wybredny i
przebierał, a pannom już było czas do raju. Mija dzień, mija dwa, mija
trzy. mija tydzień, staroście z kwestarza pokpiwa i trzyma go i poi, ale
nic nie daje,
tylko na biedę stęka i na złe czasy i na ceny w Gdańsku...
Przeor popija winem, zażywa tabakę, kicha, a zakonnicy jeden po
drugim zwracają
na niego oczy, bo tego opowiadania widocznie nie znają i pierwszy
raz je słyszę.
— Otóż raz — ciągnie dalej przeor — staroście zaczął wydziwiać
przy obiedzie, że
córki za mąż nie idą, że się starzeją i więdną, że go kosztują i niszczą.
"Jedną
— mówił — to już chyba wydam za tego drapichrusta podczaszyca,
bo ma trzy wsiny
i na mnie się oglądać nie będzie; drugą do stu bizunów, zrobię
ochmistrzynią
dworu, bo mi się już jejmość starzeje... ale z trzecią co zrobię?... "
Cisza
zapanowała dokoła stołu, a ja spuszczać oczy na talerz, szepnąłem
półgłosem:
"Choćby do nas do klasztoru, jaśnie wielmożny panie, zdałaby się...
"Śmiech
jeneralny przerwał przeorowi i on też głośniej kończy:

— I wiecie co na to staroście? Zerwał się wśród śmiechu od stołu,
podbiegł do
mnie i ściskając mnie, wołał: "To mi kwestarz! do stu bizunów! takich
lubie!" A
obrócił się zaraz do pełnomocnika i zawołał: "Kwestarzowi asan dasz
dziesięć
skopów i dwa woły, wieprza i ośm korcy żyta." "Wtedy ja nie tracąc
fantazyi,
obracam się do panny co miała iść do klasztoru i mówię: "Bieda,
panienko! bieda,
na żytnie kluski zejdziemy!" A starościec ledwie usłyszy, woła: "psze-
niey daj, nie żyta! to mi kwestarz! Starościauki mu się zachciewa dla
klasztoru... ha-ha-ha!.. patrzajcie go! A śluby? a reguła?.." "Reguła
reguła, a
starościanka starościanką — odparłem — klasztor niczem nie gardzi,
ale nie wiem,
czy się u nas panienka obejdzie bez słodkiej leguminy. " Starościec i tę
przymówkę zrozumiał, bo zaraz zawołał: "No i wyliczyć kwestarzowi
pięć dukatów.
" I tak wziąłem po tygodniu starościca na. koncept i wróciłem
obładowany do
klasztoru.
Przeor urywa, a zakonnicy jeszcze się śmieją. i koncept degustują i
różne robią
nad nim uwagi i różne sypia anegdoty...
Jeden tylko brat Antoni milczy z oczyma wlepionymi w podłogę celi,
a wygląda tak
zadumany, jakby w tej anegdocie widział wątek do długich i
głębokich rozmyślań.
Ale przeor jest w werwie, z pierwszej chwili ciszy korzysta, by znowu
zabrać
głos i nawiązać dalszy ciąg swego opowiadania.
— Inne to były czasy... inne! klasztor jeszcze był potrzebny i
użyteczny... A
dziś?... Kto do nas zajrzy?... kto?..
Brat Antoni podnosi oczy na przeora, jaśniejące tym razem jakąś
pytającą myślą,

ale staruszek spojrzenia tego nie spostrzegł i smutnie potrząsając
głową,
zamyśla się głęboko.

Zamilkł i urwał na tem ostatniem wspomnieniu opowiadanie swoje.

Wkoło znów cisza zaległa klasztorna. Wtem drzwi się otwierają i
wchodzi braciszek służebny, oddając przeorowi papier
w dużej kopercie, opieczętowany czerwonym lakiem.

— Od biskupa! — szepcze przeor, rozrywając kopertę, a ręce mu drżą
i oblicze się

mieni — od biskupa... coś nowego! oni się uwzięli ne nasz cichy
klasztorek...

Skasował kwestarzy, może znów co skasuje?...

Czyta powoli, nałożywszy okulary, a w miarę jak się posuwa w
czytaniu, blednie i
trzęsie się nerwowo.

Wreszcie opuszcza papier na kolana z ciężkiem westchnieniem,
zakrywa dłońmi

twarz, pochyla się, opierając czoło o poręcz kanapy i — płacze...
płacze jak
dziecko.

— Taki wstyd! taki wstyd! — szepcze łkając — odbierają mi
przeorstwo!. Za co?...
za co?.

Brat Antoni blady, drżący, bezprzytomny prawie, wstaje i opuszcza
cełę.

A mnichy siedzą jak mumije, nieruchomi, milczący i spoglądają
smutnie po sobie.

Czasem tylko, to jeden, to drugi podnosi do ust lampkę; to jeden, to
drugi

zażyje tabaki, przypatrując się z współczuciem staruszkowi, nie
będącemu w
stanie ukoić swego żalu.

Czas mija, kwadrans za kwadransem wydzwania zegar klasztorny, a
przeorowi wciąż

łzy jak groch z oczu się sypią i słowa wymówić nie może — i trzęsie
się

staruszek każdym nerwem ciała, jak osika każdym listkiem swoim o
zachodzie

słońca. IV. Klasztor w którym odgrywają się opowiedziane przez nas wypadki, leży w cudownym położeniu Wznosi się on na stromej skale, u której stóp z jednej strony wiję się szeroka i bystra rzeka, a z drugiej roztaczają się ogrody, pnące się łagodnie coraz wyżej i wyżej łąkami, ku borom i lasom. Nie jest to duży gmach, bo go wznosił pan kasztelan Kamieniecki dla małej liczby zakonników, których sam pierwszy z zagranicy sprowadził i osiedlił. On też nadał im spory szmat ziemi i opatrzył dochodami i przywilejami. Rodzina kasztelana zniknęła z widowni i rozległe dobra się rozpadły, ale klasztor został nienaruszony, a herb pana fundatora umieszczony nad ołtarzem w kościółku, przypomina go jeszcze, ale przypomina już tylko ciekawym i mnichom. Gmach nie jest duży, ale pomimo to, nawpół pustym był zawsze, bo jakoś reguła ukochana przez kasztelana, nie znajdowała w dawnej Polsce wielu zwolenników. Była ona jednak obszerną i piękną, pozwalała zajmować się nauką i rolą, dobroczynnością i modlitwą. Wszystko ku spełnianiu tych celów potrzebne, znajdowało się w klasztorze: bogata biblioteka i sala dla chorych, i budynek szkolny, i duże wkoło łąkami pola — tylko to wszystko oddawna zdawało się zamarłym, lub niepowołanym jeszcze do życia. Klasztor wzniesiony na kresach, czy nigdy nie liczył dostatecznej do spełnienia swych zadań ilości mnichów; czy też wśród nich nie posiadał ludzi nauki i wielkiego serca? — trudno orzec. Dość, że w bibliotece myszy poobjadały narożniki książek, ściany szpitalnej sali zazieleniły się od pleśni, a ogrody

burzanami i chwastem zarosły. Tylko grube mury wzniesione na lat setki, stały nietknięte i nic ich nie uszkodziło, ani fale bystrej rzeki, uderzające od wieków o ich fundamenty, ani tylokrotne wojny, grabieże i pożogi dokoła, ani opuszczenie i kilka wieków starości.

Cichy, ponury i smętny klasztorzek rozglądał się po okolicy swemi małemi okienkami, w których czasem, ale rzadko kiedy, ukazywała się płynącym rzeka flisakom, postać modlącego się mnicha.

A obszerne ogrody i sady, założone jeszcze przez pierwszych zakonników, osiedlonych w tych murach, zarosły trawą i mchem, zadarniły się i pokryły odwieczną powłoką nietkniętych warstw ziemi.

Nieprzejrzone niwy uprawiali chłopi, dzierżawiący od klasztoru grunta, a tylko bardzo starzy okoliczni włościanie opowiadali sobie, że ich ojcowie słyszeli od swoich dziadów, jako dawniej w klasztornych włościach nie tak bywało.

Ongi to zakonnicy sami mieli uprawiać swą ziemię, sadzić drzewka i doglądać pól i owoców. W onczas u nich w piwnicach i lochach miały być śpichrzepelne zboża, czekające w pogotowiu na wypadek nieurodzaju, głodu, wojen i wszelkich klęsk nieprzewidzianych.

Ale to tylko tradycja niosła.

Najstarsi z żyjących pamiętali za ledwie, że raz sklepienie w klasztornej piwnicy się zarysowało, a murarz który je oglądał, nie widział w tych lochach nic, oprócz starych beczek i trumien, omszałych butelek. i rupieci.

A sady obszerne nie dawały owoców: bo drzewa już stare — mówili jedni; bo zapuszczone — mówili drudzy.

Czasem jeszcze tylko obrodziła jaka spróchniała jabłonka i z po za murów
zadziwiała płynących flisaków swym barwnym owocem.
Tak było od lat... od lat niepamiętnych, i zdawało się, że już nigdy się nie
zmieni; że już nigdy odarte mury klasztoru nie pokryją się tynkiem; że
już nigdy
drzewa w sadach nie obrodzą; że już nie ujrzy nikt mnicha w tych
opustoszałych
ogrodach, czy w polu przy gospodarstwie, jak to ongi być miało.
Wtem pewnego razu galar płynie z flisakami, a ci się wydziwić nie
mogą.
Stoją na łodzi i przyglądają się ciekawie oczyma wlepionemi w te
wyniosłe mury i
zapuszczają zdziwiony wzrok w głąb ogrodów i pól...
Zamarły klasztor... żyje! Tu murarze naprawiają podmyte fala ściany,
tam gontem kryją dziurawy dach, a tam
znów na dzwonnice zaciągają nowy dzwon na miejsce starego, który
pękł i swym
dźwiękiem chrapliwym, złowrogim, przerażał okolicę.
W ogrodach czernią się poorane skiby i lśnią jak nowina, a na starych
drzewach
siedzą wyrostki i oczyszczają je z odwiecznych mchów i narośli.
Jeden z flisaków bardziej od innych zdziwiony, podpływa pod mury
klasztoru i
ciekawie pyta murarza naprawiającego fundamenty, o przyczynę tych
zmian, tego
życia w zamarłym od lat niepamiętnych gmachu.
— To nowy przeor — odpowiada robotnik — takie wyprawia
przemiany i mnichów
nagania do roboty i chce postawić na swoim...
Flisak głową kręci i dziwi się niezmiernie, a murarz narzucając kielnią
wapno na
wstawioną cegłę, dalej prawi:
— Pono to przeor młody i uczony, i pochodzi z panów, a nie z
chłopów, a zna
regułę klasztorną lepiej od tamtych... Ale i on nie nie podoła; nie na
rozum to

jednego człeka naprawić, co się tyle lat zapuściło... Zresztą..

— Jeno co? — pyta flisak.

— A no, pono mnichy niekontente z nowego przeora i buntują się. Po co im

pracować w roli, kiedy oni wolą się modlić? Po co im zabiegać, kiedy i tak mają

do syta?... Ot, młodość!... chciałby żeby klasztor stanowiąc znowu taki, jak mówią starzy, że bywało za dawnych lat. Ale on temu nie podoła i rady sobie z tem nie da! Naszarpie się tylko i zmacha niepotrzebnie, a potem ręce opuści jak inni...

Splunął zabrał się do roboty, a flisak odbija od brzegu, niesiony bystrą wodą, w

której przegładają się wyniosłe i piękne mury klasztoru.

V. W dużej sklepionej sali, od góry do dołu, dokoła ścian, biegną oszklone szafy,

jedna przy drugiej. Przez szyby widać stare księgi w lśniący pergamin oprawne.

Jedna z tych szaf otwarta. Wydobywa się z niej zapach stęchlizny i wznoszą się

tumany kurzu, ile razy mnich stojący przy niej którą z ksiąg poruszy.

Zakonnik ten, otyły i już w podeszłym wieku, wyjmując po kolei księgi, ustawia je

na stole zajmującym środek pokoju, i porządkuje podług tytułów.

Wydaje się jakby znudzony i niezadowolony, a co chwila z pewną złością

spogląda na drugiego mnicha, stojącego przy oknie, zaczytanego w pergaminowym

woluminie: to brat Antoni, przeor dzisiejszy.

Wychudłe rysy ściągłej twarzy młodego przeora noszą wyraz żywego zajęcia, a usta

energicznie zaciśnięte, zdradzają pracującą myśl i silne postanowienie.

Nagle odwraca się on do mnicha i mówi:— Otóż życzę sobie, byś brat wespół z bratem Tomaszem ułożył tę bibliotekę i

spisał jej katalog.

— Toż katalog być musi; jest nawet... — odpowiada powoli

zagadnięty — jest

katalog z roku .., a zdaje się, że od tego czasu nic nie przybyło, bo

księgi, co je darował klasztorowi starosta mohilewski, stoją, jak przyszły, w pace na strychu...

Przeor się uśmiecha uśmiechem sobie właściwym, niecierpliwym, nerwowym, sarkastycznym i mówi:

— Tak, ale ja chcę sporządzić katalog, w którymby księgi według swej treści były podzielone...

— Któżby się takiego dzieła podjął? — odpowiada mnich z akcentem zupełnej szczerości, wyrażając powątpiewanie o możebności dokonania podobnie uciążliwej pracy.

— Brat i brat Tomasz — odparł przeor krótko.

— Ja? ja?... to chyba żarty. Jabym się rozchorował od tego zapachu i kurzu, a

mnie na starość zdrowie miłe... To dla młodych praca...

— Wszakże żaden z młodych nie zna języków? wszakże...

— A ja... ja znam?... — pyta w odpowiedzi zdziwiony zakonnik — znałem je, ale...

dawno zapomniałem. Ot, coś tam jeszcze łaciny pląta się po głowie, ale jak mi

Bóg miły, to i tych tytułów nie rozumiem.

— Jakto? nie rozumiesz brat tytułów dzieł, które pisali zakonnicy naszej reguły?

— pyta przeor, starając się zapanować nad własnym rozdrażnieniem.— Jak mi Bóg miły, nawet nie wiedziałem i...

wątpię... by zakonnicy naszej reguły jakie dzieła pisali!

Długie panuje milczenie. Mnich machinalnie przewraca książki na stole, a

złośliwy uśmiech błąka mu się po twarzy. Przeor stoi przy oknie i wszystko w nim

kipi niecierpliwością.

Mnich dalej ciągnie:

— Ot, napisaćby może do biskupa, aby jakich młodych zakonników przysłał, co

jeszcze im łacina i dogmatyka z głowy nie wywietrzały i tym
powierzyć

skatalogowanie biblioteki... Ale mnie?... ja chory i stary... A brat
Tomasz?

Chciałbym zobaczyć, jak on będzie pisał ten katalog, on, co nie
widziałem, aby

kiedy pióro w palcach trzymał.

— Wszak jesteście obaj jedyni — podchwycił przeor — którym tę
pracę powierzyć

mogę...

Jak mi Bóg miły — odpowiada zakonnik — obedientia ślepa, ale...
chleba z tej

mąki nie będzie.

— Trochę dobrej woli! — prosi przeor.

— Obedientia moją regułą i klasztoru — odpowiada mnich. — Jak mi
Bóg miły, to

istna plaga egipska! ja tu nic nie zrobię, tylko myszy i moje
zaniepokoję, bo to

już im te księgi dawno się należą. Jak mi Bóg miły, płuca stracę, a
katalogu jak

nie było, tak nie będzie.

Tu zakonnik kicha dwukrotnie i szepcze:

— A to plaga egipska! Co za proch przejmujący, świdruje w nosie jak
tabaka

przeora... brata Hilarego... Brat Antoni pąsowieje na twarzy, mierzy
dużemi krokami salę wszerz i wzdłuż, a

mnich stojący przy szafie zerka tymczasem na niego ukradkiem z pod
swego kaptura

i stęka i kicha i mruczy. Ale księgi wciąż z szafy wyjmuje i z
łoskotem składa.

Młody przeor powoli wysuwa się z komnaty, mija kilka korytarzy i
zatrzymuje się

wreszcie na ganku, z którego roztacza się widok na ogrody. Jakiś
wyraz

zadowolenia okrasza jego oblicze, gdy oczyma objął sady i pola,
które wiosna i

ręka ludzka do życia już powołały.

Ale ten wyraz zadowolenienia prędko znika i zastępuje go troska i
zwątpienie,

wybitnie się na jego czole rysujące.

— Ja nic nie zrobię, ja nic nie poradzę — szepcze sam do siebie przez
zaciśnięte

zęby — ja nic nie poradzę! upór! zła wola! próżniactwo!... Stary
przeor ma

słuszność... klasztory muszą zostać takimi, jakimi je epoka robi...

Zamyślony idzie korytarzem, zagląda w każdy zakątek, otwiera drzwi
do celi

świeżo obielonych, do sal, z których wieje czysta atmosfera porządku,
dawno tym

murom nieznana.

Ale go to nie cieszy, nie cieszy właśnie dlatego, że to wszystko on
musiał

przeprowadzać przebojem, przewyciężając tysiące zawad, które mu
w koło kładli

właśni bracia.

W końcu długiego korytarza spotyka mnicha, niosącego obfite
śniadanie.— Dla kogo to? — pyta.

— Dla brata Cypryana.

— A brat Cypryan nie w ogrodzie, u dozoru? — pyta ze zdziwieniem
niezadowolony.

— Nie, bo się przeziębił i z celi nie wychodzi.

— Przeziębił?

— A, no tak... wilgoć w ziemi... a brat nie przyzwyczajony.

Mnich lidzie dalej, a przeor staje zamyślony na korytarzu.

— Trzeba pomocy młodych... — szepcze ruszając z miejsca —
napiszę do biskupa...

I dalej myśli głośno:

— Wszak teraz muszą być młodzi zakonnicy, cobyli w szkołach, co
maja

powołanie... co...

Nie kończy i pośpiesznie dąży do celi, by pisać długi wywód do
władzy z prośbą o

przysłanie mu nowych zakonników, młodych i światłych, którzyby
mu byli pomocą w

przedsięwziętych z żelazną wolą reformach. Śpieszno mu zasiąść do biurka.

Już pisze swój wywód: pióro biega po dużym arkuszu papieru, a wyraziste jego

oczy wyteżonym wzrokiem śledzą posuwającą się rękę. VI. W celi swej na łożu leży niedawny przeor klasztoru, ojciec Hilary.

Jego oblicze wybladłe i zmienione, wyraża dziś wielkie cierpienie moralne, a

jednak pomimo tego, niestraciło pogodnego, błogim spokojem lat kilkudziesięciu

nabytego charakteru.

Wewnętrzne cierpienie powaliło go na łożo, ale Die" było w stanie zniszczyć

doszczętnie czerstwości jego postaci.

Błada twarz nosi jeszcze ślady niedawno goszczących na niej rumieńców, a przez

przymglone oczy zdaje się jeszcze przeziierać ten spokojny uśmiech, jasny,

wesoły, niczem nie zamacony, właściwy tylko dzieciom i pogodnym starcom. — Tylko

po obu stronach ust, na pełnych niegdyś policzkach, zarysowały się silniej dwie

bruzdy, te dwie bruzdy, ktoremi moralne cierpienia zdradzać się zwykły.

Siedzi na łożu wsparty na poduszkach, od których tylko odcieniem barwy odbijają

jego białe włosy. Śnić się zdaje lub tonąć w zadumie, czasem tylko spogląda z

dziwnym wyrazem w oczy siedzącemu naprzeciw niego młodemu przeorowi.

Ale brat Antoni tych wejrzeń nie widzi.

Przyszedł on dziś, jak zwykle, jak codzień, odkąd ojciec Hilary zachorował,

dowiedzieć się o jego zdrowie. Ale dziś tak zdaje się być zadumanym, tak rozdrażnionym przytem, iż

traci panowanie nad sobą i zagryzając wargi, milczy jak zakłęty.

A staruszek śledzi te zmiany, przebłyskujące po jego młodem obliczu, zdaje się

odgadywać ich przyczyny i te w swym starym mózgu ważyć.

Obaj milczą.

Nagle staruszek poprawia się na poduszkach i tak zagaduje młodego przeora,

kiwając smutnie głową z pełnym bóleści wyrazem:

— No i powiedz sam, po co ci było taką mi wyrządzać krzywdę?

takim wstydem

okrywać moją białą głowę?...

Urywa, oczy spokojne, zamglone, lecz pełne dobroci wlepia w

młodego swego

następcę, który siedzi ze spuszczoną głową i jakby do słów starca

żadnej nie

przywiązywał wagi, zdaje się tonąć w bezbrzeżnej zadumie.

Staruszek po chwili dalej ciągnie:

— I tak nie czekałbyś długo, a ja byłbym na przeorstwie umarł. Czyż

mogłem długo

pociągnąć? Czyż mogłem długo zajmować miejsce, na którym ty, co

daj Boże,

myślisz, że co zrobisz...

Młody przeor podnosi głowę, a jego bystre oczy melancholicznem

spojrzeniem

spoczywają na twarzy starca. Oblicze jego okrywa się całe jakimś

wyrazem bólu i

żału, czy zwątpienia pełnego ciekawości. Wpatruje się w starca, z

rysów jego

przemawia pragnienie, by tenże dalej mówił, choćby miał znowu

obsypywać go temi wyrzutami, które go dotąd niecierpliwiły tylko i

drażniły. Ale dziś on

pragnie je słyszeć, one mu dziś dają dużo do myślenia. Z ciekawością

pochyla się

on na krześle ku starcowi, z rozwartemi lekko ustami, i przenika

myślącemi

oczyma spokojne, jak pogodny dzień zimowy, oblicze ojca Hilarego.

Ten też dalej szepcze swym słabnącym z każdą sekundą niemal

głosem:

— Ja mam... ośmdziesiąt i cztery lata życia. Wiecznym być nie

mogłem i lada

chwila Bogu oddać ducha musiałem. Czemuż nie pozwoliłeś mi
umrzeć spokojnie, bez
troski, bez żalu... bez wstydu... jak żyłem...
Młodzieniec nic nie odpowiada. Słucha, a twarz jego mieni się
rumieńcem, a nerwy
drżą na niej, jak poruszona od przeciągu siatka pojęzyny.
— Ot, czuję że lada chwila umrę... byłbyś poczekał... A może... może
jeszcze
byłbym żył jaki rok, dwa... gdyby nie wstyd taki, nieszczęście.. Cóż
rok dla
ciebie młodego?... rok! a dla mnie... ja życie lubiłem... jak starzy.
Mnie
dobrze było na świecie. Nie pragnąłem rzeczy niepodobnych do
ureczywistnienia,
nie stawiałem zamków na lodzie... żyłem dziś dla dzisiaj...
Urywa, jakby przerażony zmianą odbywającą się na twarzy młodego
przeora, któremu
patrzy w oczy — ale po chwili, jakby machinalnie ulegając
wewnętrznej potrzebie,
dalej mówi:— Ale ty chciałeś reformy... haha! tyś młody! Nie chciało
ci się czekać na to
przeorstwo w starej ruderze, nad wymierającymi mnichami... Co ty
poczniesz, gdy
ich wszystkich Bóg za mną powoła do swej chwały? wszak im
wszystkim nie wiele
już się należy!...
Starzec się uśmiecha wyrazem właściwym mu, gdy dowcipkował i
żartował, a
żartować zawsze lubił. Po chwili powraca do swej myśli i mówi dalej:
— Utinam falsus vates sim... ale...
— Ale? — podchwytuje z ogniem w oczach młody przeor.
— Ale... — powtarza starzec — ale, ot majaczy się w głowie... Co to
chciałem
powiedzieć?... Nie mam żalu do ciebie, ale co byś sam powiedział o
doktorze,
któryby mnie chciał dziś leczyć i stawiać na nogi... mnie? ciało
zużyte... Żyło

i przeżyło się... zadanie swoje spełniło i tylko potrzeba czasu i
spokoju, by na
wieki zamarło... Tak wszystko na świecie... Wszystko, jak życie
człowieka, ma
swoje dzieciństwo, swoją siłę i swoją starość... i śmierć wreszcie.
Wszystko...

i klasztor... i klasztor...

Ostatnie słowa wymawia już słabo, ciszej, głowę opuszcza na
poduszki i
zamglonemi oczyma spoczywa na rozgorączkowanej, to purpurowej,
to bladej twarzy
brata Antoniego.

A w duszy Antoniego coś się dzieje niezwykłego, stacza on
gwałtowną walkę sam z
sobą. Jego oblicze mieni się naprzemian, to wyrazem rozpaczony i
zwątpienia, to siły i woli. W źrenicach jego połyskują łzy i schną
natychmiast, a
ciężki habit porusza się na piersi pod siłą uderzeń jego młodzieńczego
serca.

— Skrzywdziłeś mnie! — odzywa się znów słabym głosem staruszek
— skrzywdziłeś
mnie. ciężko... bez celu... i... bez skutku... ot! może jeszcze i dziś
umrę... a

byłbym żył jeszcze... a niechbym sobie był umarł przeorem...

Urywa i dalej majaczy:

— Przeorem!... On taki, jak i ja stary, on tak, jak i ja... ze starości
umrzeć
musi i... umrze...

Antoni zaciekawiony nadśluchuje dalej, ale starzec już zamikł.

Wyczerpawszy

siły, usnął.

Drzwi się otwierają i wsuwa się niemi stary zakonnik. Rzuciwszy
spojrzenie na

bladą twarz leżącego na łożu, odzywa się szeptem do młodego
przeora:

— Dwóch braci młodych przybyło w tej chwili, przysłanych od
biskupa.

Przeor zrywa się żywo na tę wiadomość... ale nagle opuszcza go właściwa mu energia. Z nieokreślonym wyrazem spogląda na uśpioną, pogodną twarz starca i powoli, z głową ciężko opuszczoną na piersi, wychodzi z celi za wzywającym go braciszkiem.

Jak starzec jaki pochylony pod brzemieniem lat, zamyślony i zmęczony, przesuwa się przeor przez korytarze gmachu, dążąc do przybyłych, niecierpliwie oczekiwanych mnichów. VII. Młody przeor znajduje się już w swojej celi. Oparty o wysoką poręcz dębowego krzesła, rozmyśla nad odpowiedziami dwóch przybyłych mnichów, których już od dość długiej chwili bada.

Jego ściągnięto rysy wyrażają głębokie, acz tajone niezadowolnienie, a w oczach zwierciedli się wyteżenie umysłu, usiłującego widocznie przeniknąć jakieś ciemności.

Nagle, po dłuższej chwili zadumy, podnosi przenikliwy wzrok na zakonnika wyższego wzrostem, mierzy go badawczo od stóp do głowy i wpatruje się w jego oblicze.

Mnichem tym jest wysoki młodzieniec o pospolitej twarzy, której nie krasi ani iskierka myśli, ani odrobina inteligencji. Wygląda na parobczaka z ostrzyżonemi nisko włosami, przebranego w klasztorny habit. Sympatyczne mimo to jednak sprawia on wrażenie swą zdrową cerą, piękną budową i dobrodusznym wyrazem.

Postać jego, uderzający stanowi kontrast z stojącym tuż obok niego braciszkiem.

Ten bowiem jest niskim, brzydkim, o wypukłym upartym czole, o straszliwie

poszarpanych rysach, o zeszpeconem ospą obliczu, a zapadniętych czarnych oczach.

Przeor, zwracając się do wyższego z zakonników, pyta łagodnym głosem:— A teraz powiedz mi, mój młody bracie, co cię skłoniło do przywdziania zakonnej sukienki?

Mnich opuszcza z zakłopotaniem oczy, myśli chwilę i wreszcie odpowiada:

— Ojciec mój był ekonomem, matka zaś moja tyła szlachcianką... w domu było nas

dużo dzieci: pięciu synów... jeden został przy roli, drugi wyszedł na człowieka... jest obecnie profesorem... ja nie miałem zdolności...

matka

chciała, bym został księdzem...

Urywa i nic więcej nie mówi. A przeora oblicze okrywa jakby wyraz politowania

nad tym człowiekiem, który w ten sposób opowiada przyczyny wstąpienia swego do klasztoru.

— Cóż za przepaść między mną, a nim... a nimi?... — myśli i popada w zadumę. Ale

nagle otrząsa się, ruchem energicznym podnosi głowę i zwracając się do niższego

mnicha, pyta:

— A ciebie bracie?

— Ja już byłem stworzony do klasztoru... — odpowiada tenże zaraz, jakby już na

zapytanie czekał.

— Jakto? — pyta zdziwiony przeor.

— W domu, gdym jeszcze był dzieckiem, już mnie księdzem zwano... bo taki byłem.

Potem w szkołach toż samo... Stryj mój był proboszczem i dobrze mu się działo.

Oddał mnie do szkół, ale zdolności mi brakło...

Tu urywa, bo przeor daje znak ręką, jakby dalej słuchać sobie nie życzył. Opuszcza się przeor na fotel, przy którym stał rękoma twarz zakrywa i szeptem

wydaje mnichom rozkaz, by go opuścili. Młodzieńcy oddalają się
zdziwieni.

Przeor zdaje się nic nie słyszeć, co się w koło. dzieje i w jakiś
niezwykły stan
popada. Przeciąga ręką po czole, to wzdycha, to w próżnię wzrok
wyteża, a myśli
zebrać nie może.

Nagle zrywa się i wybiega z celi. Mija korytarze i krużganki,
zatopiony w swych
myślach. Nie widzi wymijających go mnichów, idzie naprzód powoli,
z rękoma

ukrytymi w fałdach sukni, z oczyma wlepionymi w posadzkę.
Dochodzi tak do drzwi biblioteki klasztornej, uchyla je i znajduje się
w znanej

nam już wielkiej sali, w której stary otyły zakonnik wciąż książki z
szaf

wyjmuje i okurzając je, kicha i tabakę zażywa.

Spogląda on ukosem ze zdziwieniem na przeora, na którego twarzy
maluje się

najwyższe wewnętrzne wzburzenie, odgaduje, jego powody, ale
udając że nic nie

spostrzegł, zatechłe księgi dalej otrzepuje i sortuje.

W sali tak duszno od wiekowego pyłu i kurzu, że zwraca to aż uwagę
zatopionego w
myślach przeora.

— Jak mi Bóg miły — odzywa się mnich — obedientia moją i
klasztoru regułą, ale

życiem przypłacę to grzebanie w tych herezyach... jak mi Bóg miły!....

Nos mi

puchnie od tabaki... zapas jej na cały rok przygotowany, już się
wyczerpuje,

odkąd mnie ojciec zasadziłeś do tej bezużytecznej pracy... jak mi Bóg
miły!... ale obedientia...

Urywa i z osłupieniem spogląda na przeora... ten bowiem tymczasem
gwałtownym

ruchem zrzucił na podłogę z wysokiego krzesła kilkanaście ułożonych
na niem

pergaminowych tomów, a pochwyciwszy je za poręcz, przybliżył do mnicha, usiadł

na niem i tak zagaduje, zwracając nań swe pałające oblicze:

— Bracie! powiedz mi, w którym roku wstąpiłeś do klasztoru?

— Jak mi Bóg miły, w -ym — odpowiada zakonnik, bystrem spojrzeniem obejmując

przeora, którego niezwykle zachowanie coraz bardziej go dziwi i zastanawia.

— Siadaj tu bracie — podchwytuje przeor, wskazując krzesło opodal stojące — i

opowiedz mi, co cię skłoniło?...

— A! — oburza się mnich — dajże mi ojciec przeor pokój! takie stare dzieje!...

Jak mi Bóg miły, zapomniałem... i zdaje mi się dzisiaj, żem się w habicie urodził...

Ale przeora oczy pałają taką siłą, że stary mnich przysuwa sobie krzesło, siada

na niem i powoli zażywając tabaki, zdaje się zabierać do opowiadania.

— Opowiadaj! proszę! — nalega przeor cały w gorączce i tonem, który brzmi jak

rozkaz stanowczy i wszelki opór niemożliwym czyni, tak, iż zakonnik zaczyna

wierzyć, że jego spowiedź jest w tej chwili nieodzownie potrzebną.—

Krótką to bardzo, jak mi Bóg miły, historia — zaczyna nowy bibliotekarz

klasztorny — która z dzielnego i odważnego, tęgiego i zawadyackiego żołnierza,

zrobiła zakonnika naszej surowej reguły... jak mi Bóg miły...

Urywa, bo przeraziło go wejrzenie przeora, pełne niecierpliwej, namiętnej

ciekawości, jego dziwne, straszne swem wytężeniem źrenice.

— Dalej! — pyta przeor rozkazująco.

— Tak to było — opowiada powoli mnich, zażywając co chwila tabaki — zostawiłem w

domu, w jednym domu... jak mi Bóg miły... ojca i matkę... jaką matkę! ukochaną

nad wszystko, żonę i dwoje dzieciak... Zostawiłem to wszystko w domu, a sam
przypasawszy szablę, ruszyłem w świat... Poszedłem. A gdy wróciłem, to długo się
dokoła własnego gniazda błąkałem i nie poznawałem go, bo nie zastałem ani domu,
ani ojców... ani żony... ani dzieciak... ani mogił!... ziemia tylko pozostała,
pokryta zgliszczami, w których świeciły moje kości, w których czerwieniała moja
krew... zakrzepła?... Łzy stają w oczach otyłemu mnichowi, głos jego staje się
drżącym. Urywa bezsilny, wymówiwszy ostatnie słowo.
Przeora oczy pałają.
— Dalej! — woła z wyteżeniem.
— Dalej? — pyta mnich ochłonawszy i zażywając znowu tabaki — dalej? Popatrzyłem,
łzy uroniłem... bo zasychały one, zanim się wydostały... a zresztą... i mogił nie było!... Usta zacisnąłem, by nie bluźnić i poszedłem w świat... Gdy
już iść nie mogłem... bo i celu nie było, do którego by dążyć; spocząłem w tym
klasztorze i... jak mi Bóg miły... po dziś dzień odpoczywam... A tak byłem
stworzony na mnicha, jak...
— Ale czy ranę zagoiłeś? — podchwytuje przeor, zrywając się. Mnich nie odpowiada, tylko podnosi się z krzesła i dalej bierze się do szpargałów. Przeorowi się zdaje, iż widzi dwie łzy kręcące się w jego źrenicach.
Posiedział chwilę z osłupiałym wzrokiem, jak bezprzytomny, i o nic nie pytał już
więcej. Zerwał się wreszcie i jak szalony wybiegł z sali.
A zakonnik układa książki i wpatruje się we drzwi, które się za przeorem
zamknęły i szepcze:
— Jak mi Bóg miły, biedny człowiek! Ale go nieszczęście tak jak mnie odrazu nie

złamało, bo choć w klasztorze, to jeszcze żyć pragnie i rwie się do życia...

Ucina i otrząsłszy dłonie z kurzu, opuszcza się na fotel. W zadumę zapada i

zdaje się powoli zasypiać, ale oblicze jego pokrywa jakiś wyraz spokojnego i

cichego bólu, który dawno ubezwładnił wszelkie życia sprężyny i uśpił bijące

tętna i drgające nerwy.

Odpooczywa — znużony może tem przierzucaniem stęchłych i

zbutwiałych woluminów... VIII. Przeor śpieszy znowu temi samemi korytarzami którymi do biblioteki zaszedł, a

oblicze jego i cała postać wygląda przerażająco. Wyraz jego twarzy jest niemal

dzikim; purpurowy rumieniec okrywa mu policzki, a czarne oczy świecą

krystalicznym blaskiem kamieni, oszlifowanych w tysiące kantów graniastej

powierzchni. Głowę jednak opuszcza on na piersi, jakby ciążyły mu myśli,

wysilone na rozwiązanie jakiegoś pytania; mózg jego pracuje z niesłychanem

wyężeniem, bo żyły pulsują mu na skroniach i po nad oczyma.

Mija swoją celę i refektarz i zatrzymuje się dopiero przed drzwiami, prowadzącymi do celi którą niedawno opuścił — do tej, w której

powoli dogorywa

sędziwy ojciec Hilary, dawny przeor klasztoru.

Drżącą dłonią otwiera drzwi gorączkowo i staje naprzeciw leżącego na posłaniu

starca.

Z dziwnym przychodzi zamiarem.

Umierającego starca chce on zapytać, jakie to pobudki skłoniły go do wstąpienia

do klasztoru. Jemu się w głowie mąci teraz po tej krótkiej spowiedzi otyłego

mnicha, którego dotąd uważał za typ epoki upadku klasztorów, i po tych szczerych

odpowiedziach dwóch przysłanych mu świeżo zakonników. Staje,
porusza ustami i chce pytać... ale spojrzął i nagle milknie. Widzi, że
oblicze staruszka bledsze, niż było przed chwilą, że oczy jego ślizgają
się po

celi, dziwnie mdłe, bezwyraziste, oczy, jakimi dusza żegna świat,
niby tęskne a

bezmyślne, patrzące a już niewidzące.

— Ojcze! — woła z straszną nutą rozpaczy w głosie — ojcze!
przebacz!...

Staruszek przestaje kołować oczyma, spoczywa wzrokiem na nim,
obejmuje go nim

całego, wpatruje się w jego wzburzone oblicze, jakby ono coś mówiło
mu i

opowiadało... potrząsa głową, jakby potakując na wpół już tylko
przytomnym

wnioskom obumierającej myśli.

— Ojcze! ojcze! — powtarza młodzieniec słabym głosem, kryjąc
ciężącą mu głowę w

dłoni, wspartej na poręczu łoża — przebacz ojcze!...

Stary się uśmiecha, błogim, spokojnym, niebiańsko-promiennym
uśmiechem, w którym

przebijają się wszystkie cechy jego serca i duszy, w którym błyska ta
nieopuszczająca go nigdy pogoda umysłu, ale w którym przebija się
także i odcień

głębokiego żalu.

— Ja... nie ojciec — szepcze — ja... brat... brat Hilary tylko...

Z piersi młodego przeora wydobywa się ciężkie przeciągłe
westchnienie, które

powoli przechodzi w głuchy jęk, wyciśnięty serdecznym bólem.

Czołoręka nerwowo przyciska i błagalnym spojrzeniem obejmuje
starca, szeptaając raz po

raz:

— Przebacz... przebacz...

Ale starzec nic nie odpowiada, tylko coraz ciężiej oddycha, a jego siwe
oczy,

jaśniejące teraz na przezroczyście-bladej twarzy, pod alabastrowym
czołem,

omdlewają powoli, powoli, ale coraz widoczniej.

Spotrząga to z przerażeniem młody przeor, rzuca, się ku poduszkom i pyta:

— Ojcze! ojcze! co ci?

— Nic... nic... — odpowiada, szepcząc z wysiłkiem starzec — nic... będę umierał...

Ręką sięga do zapiętej koszuli na piersi, jakby go coś w tym miejscu dusiło, ale

już ręka sił nie ma... Mimo to, staruszek ruch ten powtarza.

Młodzieniec rozpina

mu koszulę u szyi i wyraz zdziwienia równocześnie okrywa twarz jego, bo na

piersi starca spostrzega na sznurku wiszącą srebrną obrączkę, starą, śniedzią

zaszłą... a zdaje mu się, że widział gdzieś taką... czy tę samą może?

Myśli napróżno wyteża... nachyla twarz nad starcem, ciekawością owładnięty.

Nagle wyraz zaspokożenia rozlewa się po jego obliczu i jednocześnie dziwnym a

bezmiernie bolesnym uśmiechem wykrzywają, się jego usta...

Przypomniał sobie... tak! przypomniał sobie, że taki pierścień, taki sam,

upleciony z włosów na srebrnej obrączce, widział w dzieciństwie u stryja swego

ojca. Przypomniał sobie, co mu opowiadano o tym dziadku jego...

opowiadano, że stracił narzeczoną podczas jakiejś wojny, a gdy wrócił...

Dalej... już płaczą się jego wspomnienia... obsuwa się na krzesło, opuszcza

głowę na piersi i tonie we wspomnieniach dzieciństwa, które radby wskrzесиć w

pamięci. Nie słyszy już ciężkich i coraz cięższych westchnień, które podnoszą

piersi starca z takim wysiłkiem, jakby już były ostatnie.

Nie słyszy nic wcale, co wkoło niego się dzieje; wrażenia ostatnich kilku godzin

straszną burzą zawichrzyły jego wyobraźnię; serce mu rozsadza piersi, a krew

uderza do mózgu.

Dłońmi ściska wyniosłe czoło, jakby chciał zatrzymać ulatujące myśli,
jakby się

silił wyciągnąć wnioski jakieś z chaotycznych wrażeń.

Cisza grobowa panuje w celi...

Nagle przeor zrywa się przerażony. Teraz dopiero zauważył tę ciszę i
straszna mu

się wydała. Ciszy szukał dla uspokojenia rozstrojonych nerwów i oto ta
cisza

najgwałtowniej niemi targnęła.

— Ojczy! — pyta i urywa blednąc.

Starzec przymknął powieki, krew zbiegła mu już z trupio-bładej
twarzy, na

której, jak na marmurze, nic nie zadrza, nic się nie zmieni.

— Ojczy! — woła przeor — zanim umrzesz, powiesz mi...

Chwyta za rękę starca, ale ta drętwiejąc, wysuwa mu się z dłoni i
ciężko opada

na posłanie. Młodzieniec odskakuje od łoża... Tak mu duszno! Radby
rękoma rozerwać habit u

szyi... tak mu duszno! Biegnie do okna i otwiera je całe, by spragnioną
piersią

zaczerpnąć powietrza.

Omało go pełną falą — oddycha.

Orlim wzrokiem obejmuje świat szeroki, widny z wysokich okien
klasztora.

Spojrzał w niebo, to znów na dół spoziera, gdzie bystra rzeka toczy
swoje nurty

majestatycznie i pluskocze o mury gmachu i czerni się swą tajemniczą
głębią.

Duszno mu.

Ciemno mu w oczach, coraz ciemniej.

— Czyżby to już tak prędko noc zapadała? — pyta sam siebie w pół
nieprzytomny.

Nie! słońce jeszcze wysoko, tuż nad nim przegląda się w kryształach
szerokiej

wody, okalającej klasztor, zaziera do celi i smugą światła oblewa
alabastrową

twarz trupa i jego włosy — białe jak pióra gołębia.

Słońce świeci, to tylko jemu tak czarno i ciemno w oczach.
Słońce tryskające oślepiającymi promieniami, zdaje mu się posuwać
po czarnym jak
kir firmamencie. I czarną gazą pokryte, wydają mu się zielone łąki za
rzeką i
mury i fale spieszącej w dal rzeki...
Rysy jego wydłużają się, mieniają. Jakiś błędny wyraz ogarnia całe jego
oblicze;
błyszczą tylko jeszcze z dziwną siłą, jak rozżarzone węgle, czarne,
iskrzące
oczy. Raz jeszcze rzucił spojrzenie na starca. W jednym mgnieniu oka
czepia się
obramienia otwartego okna. Jednym rzutem wskakuje na jego poręcz i
z wzrokiem
wyteżonym w ciemną powierzchnię wody, staje chwilę w otworze.
Coś go tam ciągnie — zdaje mu się, że go tam coś ciągnie
nieprzepartą siłą..
Nagle pochyła się naprzód... i za chwilę znika w nurtach rzeki...
Przywitała go niewyraźnym jak szept tajemniczy pluskiem...
I głęboka już cisza dokoła. Słońce do celi promyk wysyła na zwiady i
wciąż
posuwa się smugą po skostniałej twarzy starca. Pod murami klasztoru
przegląda
się ciągle jednakowo w przejrzystym zwierciadle wody.
A w tym miejsca gdzie zatonął człowiek, jeszcze chwilę tylko woda
się burzy i
tajemnice swych głębin coraz to szerszym i szerszym kręgiem na
powierzchni
zdradza.

WYPADEK. OPOWIADANIE DANDYSA Z POŁOWY TEGO WIEKU.

Dawne to dzieje, bo dużo od owego czasu zmieniło się w ustroju
naszego
społeczeństwa. Dzisiejsze pokolenie nie wie nawet prawie, że ojcowie
jego
szczycili się być "dandysami. " Do nich lat temu czterdzieści i ja się
liczyłem,

a wyjątkowy wypadek, w którym naówczas w roli dandysa przyszło mi wystąpić,
tutaj opowiem.

Między jednym a drugim dłuższym pobytem w Paryżu, zaskoczyła mnie w Warszawie

wiadomość o śmierci mego dalekiego stryja i spadającej na mnie w skutek tego

sukcesyi. Spadek ten składał się z jednej dużej wsi, która stanowiła nielada

kęsek.

Gdyby nie to, zapewne byłbym poleciewszy jakiemu mecenasowi windykację spadku,

sam popędził do Paryża, zamiast na wieś. Ale wieś wymagała zachodu i zabiegów;

nie można jej było pozwolić rozszarpać ekonomom, ani opustoszyć.

Postanowiłem

więc, jak wówczas z węgierska po polsku mówiono: "zrobić z siebie ofiarę, " — i

mimo nalegających listów Wiszyń-skiego, lwa-dandysa paryzkiego światka, ażebym coprędzej przybywał do

nadsekwańskiej stolicy, wybrałem się w przeciwną stronę.

Przyjaciele moi nie poznawali mnie w tym kroku, i jak się później dowiedziałem,

długo dać wiary nie chcieli mej majątkowej zabiegliwości.

Jakoż, gdy oni "dandysowali" po bulwarach i rozpierali się w

kawiarniach pod

kolumnadą Luwru, lub spędzali hulaszczcze noce w swobodnem

towarzystwie, ja

pedziłem na wieś, w głąb śnieżyc i borów stepów i znanych mi z

opowiadania

zadymek.

Wszakże za cenę wsi można było kilka zim spędzić w Paryżu i

wyleczyć się z

odmrożenia uszu, i na miękkich dywanach zacisznego pokoiku, przy

łagodnem cieple

kominka, zapomnieć o zawiejach, w których wilki podobno tylko buty

zostawiały z

ludzi. Bez wielkiej też tęsknoty puściłem się w podróż, a okoliczność,
o której
byłem przekonany, że i w kraju są kobiety, a mogą być i piękne
kobiety, dużo mi
dodawła otuchy i cierpliwości.
Przypuszczenia moje nie omyliły mnie. Zaraz na drugi dzień po
przybyciu do
Jarmolinek, byłem poinformowany, że te pod względem sąsiedztwa
należały do wsi
faworyzowanych przez Fortunę.
Z jednej strony bowiem granoczyłem z niejakim panem Rużyckim,
właścicielem dwóch
wsi: Werestiny i Czeremochy, które niedawno nabył i w których
oczekiwał końca
siedmdziesięcioletniego pasma swych dni zabiegliwych. Z drugiej
strony
Jarmolinki, lasem nienie kwalifikującym się niestety! wówczas do
wycięcia, sąsiadowały z
Putiatyczami, własnością młodego, dwudziestoletniego Orwida,
postanawiającego
majątek zrobić właśnie w ciągu tego czasu, który większej części jego
rówienników miał wystarczyć na stracenie kolosalnych fortun.
Stan ten rzeczy, na pierwszy rzut oka, zdawałby się oplakanym
każdemu dandysowi,
lecz nie był takim, dzięki jednej, a właściwie dwom okolicznościom.
Pan Orwid był zapalonym myśliwym, całe dni spędzał w kniei, w
której pozbywał w
tak łatwy sposób nadmiaru swej gorącej krwi, nie szukając w tym celu
ani
Bulońskiego lasku, ani Chaumiery i Café-Riche.
Choć żaden dandys nie był Nemrodem i nie tracił drogiej młodości na
pozbawianie
życia tchórzliwych zajęcy i płaczliwych sarn — na wsi i ten sposób
zabicia czasu
wydał mi się nie pozbawionym uroku.
Lolo, dandys nad dandysy, twierdził, że nigdy z większym apetytem
nie pił

likieru i nie palił cygara, niż po obiedzie, podczas którego winem rozgrzewał swe zziębłe na polowaniu członki. A Wiszyński regularnie w lutym opuszczał Paryż i udawał się do Anglii, aby nadpsuty żołądek przywrócić do porządku siłą gonitw z chartami, lub łażeniem na wyścigi. Mimo to jednak, okoliczność ta nie byłaby wystarczającym powodem do możliwego spędzenia zimy w Jarmolinkach."Wszędzie świat, gdzie choćby jedna kobieta" — mawiał Alfred de Grandisse. Otóż pan Rużycki miał przy sobie jedną córkę, która według powszechnego zdania okolicy, miała być ósmym cudem świata. Ta córka liczyła dwadzieścia i dziewięć lat, a właśnie wówczas powtarzano sobie na bulwarach zdanie wyjęte z ostatniego sensacyjnego romansu Eugeniusza Sue'go: "la femme commence à trenie ans." Ta córka była wdową, a polscy dandysi w Paryżu, gdy sobie czasem przypomnieli język narodowy i gdy ich rozkwiliła poetycka wena, najchętniej nucili: Kiedy jechać, to już sanna, Kiedy ginąć, to za panną, Gdy mieć ptaka, to już w klatce, Gdy się kochać, to w mężatce, Jeśli płynąć, tylko z wodą, Jeśli szaleć, tylko z wdową. Rym był gorszy od częstochowskiego, ale sens zrozumiały dla ówczesnych ludzi. Czempredzej też postanowiłem złożyć wizytę mieszkańcom Czeremechy. II. Pan Orwid nie zawiódł moich oczekiwań. Rzeczywiście, nigdy żaden dandys z taką delicya nie wyciągał nóg przed kominem, jak ja je ogrzewałem po całodziennem polowaniu, z obławą albo psami. Żaden dandys tak nie rozkoszował się combrem zająca, choć nieprzygotowanym przez Braci Provencaux, ani też żaden nie wsuwał

się z taką rozkoszą pod kołdrę w chwili, kiedy ten wielki, wesoły,
kipiący Paryż
żyć dopiero zaczynał.

Ale Czeremecha grubo mnie zawiodła, choć wersja o piękności pani
Oktawii

Zbilityńskiej nie dosięgała rzeczywistości. Pani Oktawia była
prześliczną, ale

była też najcnotliwszą kobietą, jaką mi się do tego czasu i od tego
czasu

widzieć zdarzyło.

Nie dość, że była uosobieniem wszystkich cnót kobiecych, ale nadto
kochała się

wciąż w swoim nieboszyku mężu, dawno przez myszy i robaki w
puch obróconym, i

wieczne po nim wdowieństwo ślubowała.

Opłakany obraz kobiety, jedynej kobiety dostępnej dla dandysa,
przebywającego

na wsi nieskończenie długie wieczory!

Sławną aktorką teatru "Ambigu" w Paryżu była wówczas panna de
Graces, o której

nigdy nic skandalicznego nie mówiono. "Więc też Wiszyński
nazwał ją panną trzydziesta i sześciu cnót. Iluż cnót niewiastą mogła
być moja cudowna

sąsiadka?

Jakkolwiek powoli, pani Oktawia coraz mniej sprawiała na mnie
wrażenia kobiety,

lecz zapanowała między nami najlepsza harmonia, quasi przyjaźń. Bo
też był to

nadzwyczajny typ niewieści. Światowo wychowana, wykształcona,
pełna dowcipu i

werwy, ciekawa wszystkiego, czytająca wszystko, z niesłychanie
obudzoną

inteligencją, stanowiła rodzaj kobiet daleko częstszy wówczas, niż
dzisiaj.

Wtedy bowiem wychowanie kobiet szerzej pojmowano, niż teraz;
kształcono je dla

świata i Europy, a zapominano o ognisku domowym i zaścianku.

Niedawna epoka

galanterii i filozofii czasów Stanisława Augusta, jeszcze świeższa epoka bohaterstwa i entuzjazmu Napoleońskiego, obie odbijały się w ówczesnych kobietach.

Pani Oktawia wychowana przez ojca, który przesiąkł w młodości lekkim i filozoficznym duchem epoki Poniatońskiego, a później dał się porwać kosmopolitycznym bohaterstwem Napoleona, zachowywała w swym obejściu wszystkie cechy, właściwe ówczesnym kobietom. Ale to lekkie światowe wychowanie, trafiło w niej na naturę silną i z gruntu polską, cnotliwą. Więc też nic nie nadwyreżyło jej duszy, dając tylko pełną wdzięku poezję jej postaci i rozumowi. One to sprawiły, że jakkolwiek ani chwili nie zamarzyłem o bezowocnym zakochaniu się w pani Oktawii, spędzałem z nią długie wieczory tak przyjemnie, że wyobraźnia wcale nie przenosiła mnie wtedy nad Sekwanę.

Pani Oktawia umiała być dowcipną, swobodną, lekką, interesującą, nie zapominając jednak, że dozgonną wierność ślubowała ś.p. Zbylityńskiemu, i że życie jej należało do dwojga sierot, z których zrobić postanowiła znakomitości. Dziwna to była istota, jedna z tych rzadkich kobiet, z którymi mężczyzna zawrzeć może wieczysty układ przyjaźni, nie bojąc się niebezpiecznej okoliczności, mogącej go kiedykolwiek zachęcić do przeskoczenia przepaści, oddzielającej miłość od przyjaźni. Pani Oktawia, jednym słowem, była uosobieniem rzadkiej, prawdziwej cnoty, tak silnie zakorzenionej, iż obchodziła się bez zimnych i sztywnych pozorów, i tem właśnie większy obudzała szacunek i uwielbienie.

Spędzaliśmy czas wesoło w Czeremesze. Przy dużym kominie, całymi wieczorami

drzemał ze swą fajką pan Rużycki, a pani Oktawia ogromne przeprowadzała ze mną traktaty filozoficzne, mające na celu wybicie mi z głowy dandysowstwa.

Nie obiecywałem jej osiedlenia się na zawsze w Jermolinkach, i porzucenia myśli

rychłego powrotu do Paryża, lecz słuchałem z ciekawością szczebiotania kobiety,

którą bawiło opowiadanie że jest jeszcze inny świat, prócz świata obowiązków i

cnoty.

A nic mnie bardziej w tej kobiecie nie intrygowało, niż ciekawość jej poznania

paryżkiego lek-kiego świata, którym przepełnione były ówczesne powieści.

Pani Oktawia słuchała mnie z niepojętym interesem, gdy jej opowiadałem szczegóły

życia jednej z głośnych przedstawicielek owego świata. Absolutnie nie pojmowała

tych kobiet, ale rozciekawiała jej chciwą wiedzy inteligencyę.

Zapalała się w

potępianiu ich, drażniło ją, gdym ich bronił, lecz jednocześnie wypytywała o

różne drobiazgowo szczegóły, powodujące te kobiety do rzucania się w przepaść, z

której już, według pani Oktawii, wyjścia nie było.

Jednego z tych długich na wsi wieczorów, podczas których śnieżyca zdaje się

zapełniać nieopisanie złowrogim szumem świat cały, przyszły pod rozprawy,

wiersze Wiktora Hugo: "Oh! n'insultez jamais une femme qui

tombe..." Wiersze te w owym czasie "robiły furorę, " bo brał niemi w obronę genialnem

piórem upadłą kobietę.

Na pani Oktawii te wyrazy poety wywarły głębokie wrażenie.

Zdawała się być niemi

zachwiana w swych nieubłaganych pojęciach uczciwej kobiety.
Poemat zasepił jej
piękne czoło i skłonił do głębokiej zadumy, tak dalece, iż młoda
wdowa pierwszy
raz wydała mi się niekiedy smutną.
Z początku potępiała myśl ubóstwianego wtedy poety; później, gdym
zaczął
wyłuszczać powody, skłaniające i mnie do stawania w jego szeregach,
pani Oktawia tylko wzdychała. Wreszcie dwie duże łzy zabłyśły w jej
oczach. Zdziwiony
niemi wyszedłem... pani Oktawia wstała i pożegnała mnie.
Pamiętam iż dnia tego, gdy powracałem do Jarmolinek, wicher
szumiący i miotający
miliardami białych płatków, przeszkadzał mi wściekle w
wytłomaczeniu sobie tych
dwóch dużych łez w niebieskich oczach pani Oktawii.
Była to epoka dandyzmu, prawda, ale też i wielkiego zapału do
wszystkiego, co
piękne i wielkie.
Tem wytłomaczyłem sobie dwie łzy owe, przypisując je poecie
francuzkiemu.
A jednak...
III. Jakoś miało się już ku wiosnie. Niezadługo miałem opuścić
Jarmolinki i
pośpieszyć do Paryża, gdzie po skończonym karnawale, zaczynał się
drugi daleko
świetniejszy, letnim zwany. Tam już okwitły kamelie i zielenił się
lasek
Buloński, a na wsi wciąż szumiało i dęło,
Wtem niespodziewany wypadek przerwał monotonię wsi, zasypanej
śniegami a
otoczonej jednostajnym pejzażem borów, przykrytych szronem.
Dandys zawitał do Jarmolinek, dandys nad dandysy! — Wiszyński,
któremu zabrakło
nad Sekwanapieniędzy, śpieszył w głąb kraju, jeszcze znacznie dalej
za moją siedzibę, aby
sprzedać kilka dziedzicznych wsi, których bez jego obecności w kraju
kupić nie

chciano.

Po drodze wstąpił do przyjaciela.

Radość moja nie miała granic. Widzieć w Jarmolinkach, prosto ekstrapoczta

pędzącego z Paryża dandysa, było gratką nielada. Więc też nie pozwoliłem mu

spocząć. Musiał opowiedzieć wszystko, ale to wszystko, opisać nowych dandysów,

jakoteż i nowe gwiazdy na horyzoncie lekkiego świata, poinformować mnie o nowych

modach i zwyczajach, wtajemniczyć w świeże farsy i skandale bruku paryzkiego.

Po obiedzie, po czarnej kawie, cygarach i kilku kieliszkach benedyktyny,

zauważyłem że mój przyjaciel się nudzi, bo zaczął ziewać, a on nigdy nie

ziewał.

— Cóż tu z nim robić? — myślałem-Wtem przyszedł mi pomysł.

— Wiesz co? — zawołałem — w sąsiedztwie mam śliczną panią Oktawie, z którą arcy-

mile, choć arcypoprawnie spędzimy kilka godzin. "Wiatr się uciszył.

Wiem, że nie

żałujesz nigdy trudu, by zobaczyć piękną twarz i usłyszeć śliczny głos kobiety.

Jeśli cię te kilka tysięcy kilometrów, które zostawiłeś za sobą, zbyt nie utrudziły...

— Ależ i owszem! — podchwycił Wiszyński. — Jeśli mam zobaczyć piękną ukrainkę, o

jakich dotąd tylko czytałem, to jedźmy. Kazałem zaprzęgać, i w pół godziny potem wjeżdżaliśmy w podwórze Czeremechy.

Panią Oktawie zastaliśmy samą przy dużym ogniu, tłącym w kącie pokoju. Pan

Rużycki zdenerwowany wichrem, który świstał cały dzień w kominach, położył się

wcześniej.

Pani domu przywitała nas uprzejmie, Wdzięczną, mi była, żem przywiózł

Wiszyńskiego,

pachnącego jakby Paryżem, który wtenczas dla wszystkich miał niepojęty urok. Sam świeży zapach stolicy, odurzał nawet tak cnotliwą, jak pani Zbylitowska, kobietę.

Ożywiona rozmowa toczyła się barwnie, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, potracając o wszystkie wypadki chwili, o wszystkie sensacyjne wiadomości, doszłe ze świata: czyli z Paryża.

Wiszyński opowiadał, a pani Oktawia podsycala tylko zgrabnie jego wspomnienia, w których widocznie niezmiernie smakowała.

Wreszcie, sam nie pamiętani jak, zeszliśmy na temat lekkiego świata. Zapewne sama pani Oktawia nastroiła na ten przedmiot przyjaciela, a był on tam świadom wszystkiego.

Opowiadał zajmująco, z dziwną umiejętnością podchwytywania cech charakterystycznych, z nadzwyczajną drobiazgowością, która słuchaczowi

plastycznie odtwarzała opisywane przez niego rzeczy i wypadki.

Ten świat zbytku sztucznie utrzymywanego, elegancyi narzucającej się całej

Europie, ten świat upadłych kobiet, rządzących w wielkiej stolicy, będącej ogniskiem cywilizacji,

dziwnie, jako zagadka nigdy nierozwiązana, interesował Oktawie.

Wyglądała

niesłychanie zaciekawioną, gdy Wiszyński zaczął opisywać karierę nieznaną mi

gwiazdy, niejkiej Weracyi Larose.

Ta kobieta przepiękna miała u nóg swych w tej chwili cały Paryż. Ni ztąd, ni

zowąd, jak twierdził dandys, błysnęła niewidzianym dotąd blaskiem, który

czepie, jak zawsze w Paryżu, swój początek w powodzeniu. Nagle pojawiła się,

nikt nie wiedział z kąd, by w kilka dni później zostać ulubienicą księcia de Mora, otoczoną niewidzianym zbytkiem, wpływająca na politykę, dyktującą Paryżowi mody elegancyi i szyku. Jej powozy, jej mieszkanie, jej brylanty i toalety, były podziwem stolicy chciwej nowości. A opowiadano sobie o panie Larose nadzwyczajne rzeczy, które robiły z niej, jak zawsze, jakąś niezwykłą istotę, zabłąkaną przypadkiem w świecie zepsucia. Przesadzano jej piękność, jej dowcip, jej światowość, ubiegano się o jej względy, jakby jakiej królowej. Dziwiła się pani Oktawia, a Wiszyński znużony opowiadaniem, mającym na celu przenieść cnotliwą dziedziczkę Czeremechy do uperfumowanych salonów panny Larose, kończył:

— Oto historia królowej dzisiejszego Paryża, bo Paryż, proszę pani, ten Paryż gwarny i elegancki, o którym mówią i piszą po całym świecie, w stolicach i w zasypanych śniegiem dworkach, jak tu oto, to bar-dzo małe królestwo, rządzone co chwila przez inną genialną kobietę, pospołu z parlamentem, który tworzymy my, wielcy dandysi!

Pora była spóźnioną, więc pożegnaliśmy panią. Oktawie i powrócili do Jarmolinek.

W drodze zauważył tylko Wiszyński:

— Wszakże to ciekawy objaw, który nasuwa ta śliczna pani Oktawia, że im uczciwsza kobieta, tem więcej ma ciekawości poznania tego świata...

Nazajutrz ze świtem, Wiszyński pognał sprzedawać swoje wsie, bo mu dyabelnie pilno było ujrzeć się z powrotem w Paryżu.

W godzinę później, posłaniec przypędził do Jarmolinek z Czeremechy ze smutną wiadomością, że pan Rużycki właśnie rozstawał się z tym światem. Pośpieszyłem i zdążyłem na czas.

Staruszek poznał mnie jeszcze; oczekiwał mego przybycia, by mi polecić swą córkę.

— Bądź jej pomocą — mówił umierającym głosem — bo kobieta sama potrzebuje nieraz rady... Zostawiam dwie wsie, jedną niech sobie wybiera Oktawcia, a druga dla drugiej...

Nie dokończył i usnął.

Gdy pani Zbylityńska ochłonęła po wrażeniu tej spokojnej i przewidzianej śmierci, zagadnąłem ją:

— Nic nie wiedziałem, że pani masz siostrę. Pani Oktawia spojrzała mi bystro w oczy, i po chwili odparła:— Miałam, ale dawno... już nie mam. Ojcu tak się czasem przywidywało, że jeszcze się znajdzie...

— Zginęła?

— Dzieckiem porwali ją Cygani... — wyszeptała pani Oktawia, spojrzawszy na mnie niepewnym wzrokiem, w którym wyczytałem, że piękna kobieta skłamała.

Co to mogło znaczyć?

Dandysi w owych czasach niezmiernie byli ciekawymi wypadków, które im

przypominały tajemnice jakimi świat poruszał Sue.

Ta siostra, która porwali cyganie...

Ale wszystko to prędko wywietrzało z głowy, gdy w kilka dni po pogrzebie

Rużyckiego opuściłem Jarmolinki, by pośpieszną jazdą stanąć na wiosenne parady w

Paryżu.

Pani Oktawia prosiła, bym do niej pisywał, a ja przyrzekłem jej to słowem dandysa.

IV. Przybywszy do Paryża, uważałem sobie za obowiązek poznać pannę Larose.

Zmiarkowałem bowiem zaraz, iż było to pierwszym obowiązkiem
młodzieńca, chcącego
mieć pozycję między dandysami, których królem naówczas był Mora,
a pierwszym jego adjutantem Wiszyński.
Wiszyńskiego zastałem już w Paryżu, sypiącego złoto pełną garścią, i
przypatrywałem się, jak szybko w jego rękach na marne się obracał
klucz
ukraiński. Ale wtedy nie uczuwałem żadnego żalu nad tem topnieniem
pańskiej
fortuny w ogniu dandyzmu. Zazdrościliśmy Wiszyńskiemu i
ubolewali, że nie mamy w
kraju dóbr, któreby pozwalały nam oddalać się z Paryża tylko dla ich
sprzedaży.
Wiszyński rywalizował z markizami i dukami Francyi, a dandysi
jednogłośnie
przyznawali, że lepiej jeszcze od nich trwonił majątek, z
wyszukańszym szykiem i
fantazją, jednym słowem en plus achevé dandy.
Do niego się też udałem, by mnie wprowadził do mieszkania panny
Larose,
położonego przy ulicy Chaussee d'Antin, słynnej wówczas ze
zbytkowych pałacyków
i domów.
Wiszyński w drodze tak mnie objaśnił, gdyśmy śpieszyli do panny
Weracyi,
przyjmującej tylko od trzeciej do piątej.
— Zobaczysz jedną z najoryginalniejszych kobiet, jakie w życiu
widziałem. Larose
jest zagadką w całym tego słowa znaczeniu. Jak nikt nie zna jej
pochodzenia, ba,
nawet jej narodowości, tak też nikt nie odgadnie jej charakteru. W
każdym razie
dandys musi ją poznać i musi być przez nią dobrze widzianym. Czy
uwierzysz, że
Mora który ją otoczył tym szalonym zbytkiem, tyleż ją zna, co my?
Wczoraj słyszałem, jak się spierał z Grandissem, który twierdzi, że
śliczna Weracya jest
rosyanką, gdy on chce, by była angiolką.

— Czemże jest wreszcie?

— Nikt nie wie. Co do mnie, przypuszczam, że jest jedną z tych kobiet, które wypadek rzuca w szeregi obcego jej świata. Wychowanie odebrała staranne, bo manierami swemi uderza przy tak wytresowanych, jak Nina lub Wioletta.

Byliśmy przed mieszkaniem Weraeyi.

Mnóztwo powozów ekscentrycznych, lśniących przepychem, który Paryż wtedy na wielką skalę zaczął roztaczać, stało na ulicy.

W apartamentach panny Larose zastaliśmy już zgromadzonych najwytworniejszych dandysów świata. Między nimi znaczny procent stanowili polacy, bo byli tam:

Alfred, i Leon Cezarek i Pantaleoś, i tylu a tylu innych.

Jakkolwiek dywany i jedwabie tłumili głosy i hałas, w apartamencie było gorąco.

Każdy cisnął się do ślicznej Lorose, aby mózdz z nią choć kilka zamienić wyrazów;

słynęła ona bowiem ze wszystkiego, a więc i z czaru, z esprit d'àpropos, który francuzi tak cenią.

Stałem w tłumie i przyglądałem się bacznie ówczesnej znakomitości Paryża, w swoim rodzaju.

Stolica nadsekwańska po wszystkie czasy była czołem przed każdym rozgłosem. W

salonach panny Larose doznawałem wrażenia, jak gdybym się znajdowała pokojach prawdziwej znakomitości umysłowej lub dworskiej.

Była to kobieta bardzo piękna, która mogła liczyć lat trzydzieści lub więcej.

Typ jej przypominał polskie piękności, i ztąd przychylałem się do zdania

Grandissa, że piękna Weracya pochodziła z plemienia słowiańskiego. Piękność ma to do siebie, że uszlachetnia wszelkie rysy. Ztąd też nie

zastanowiła mnie ani zadziwiła twarz tej kobiety, w której rysach było
wiele
cech ogólnych rasy, lecz w wyrazie przebijała szlachetna duma.
W świecie do którego się liczyła, musiała odurzać i podbijać. Panna
Larose mogła
śmiało uchodzić za kobietę światową, i dobrzeby wyglądała w
każdym
arystokratycznym hotelu Saint-Germain.
Postrzegłszy znajomego, prosiłem aby mnie przedstawił pani domu.
Pani Weracya
podała mi rękę z cudownym, lecz dziwnym uśmiechem, wyrażając
zadowolnienie z
poznania mnie.
— J'aime les Polonais, je les aime beaucoup — mówiła akcentem,
który zdradzał,
że w każdym razie nie była francuzką.
Wymieniwszy z nią kilka banalnych wyrazów, musiałem ustąpić, bo
dandysi świeżo
tej gwiazdzie przedstawiani, tłoczyli się, jak lordowie przed tron
królowej
Wiktoryi, która wtedy także była piękną i wspaniałą. Tak poznałem
pannę Larose, i od tej chwili częstym bywałem u niej gościem,
dawała bowiem istotnie dowody sympatii dla polaków, zapraszając
na obiady i
fety. A nie pogardzała niemi, bo nie pogardzały niemi najwybitniejsze
figury
owego czasu. U niej to poznałem bliżej słynnego, jak żaden
romansopisarz,
Eugeniusza Sue'go, i młodego Balzaca, i wielkiego księcia de Morny,
i wielu a
wielu innych.
Panna Larose górowała nad całym swym światem jedną ważną rzeczą,
to jest
wychowaniem. Była starannie wykształconą. Tej okoliczności
głównie zawdzięczała
swój rozgłos.
Powziąłem dla niej prawdziwe współczucie, jakie tylko obudzić może
uczciwa w

gruncie kobieta. To współczucie, nigdy bardzo nie pociągające
dandysa, zadziwiło
mnie samego.

Nieraz, pamiętam, marzyłem o wydobyciu Weracyi Larose z nędzy,
przykrytej
brylantami. Nieraz żał mi jej było, że ze swoją inteligencją, ze swą
dumą i

szlachetnymi porywami, dzierży berło w tym świecie zepsucia.
Ale na tych myślach poprzestawałem. Gdzież iaki dandys naprawdę
kiedy pracował
nad umoralnieniem świata?

Pozostawaliśmy jednak de bons amis, nic więcej bo panna Larose była
ulubienicą

księcia de Mora, a Wiszyński tracił trzy wsie polskie, by mu ją
odbić. V. Zdziwienie moje nie miało granic, gdy po dwóch miesiącach
pobytu w Paryżu i po
kilku wysłanych do Czeremechy listach, dostałem pewnego razu przez
posłańca

publicznego następujący bilet:

"Przyjechałam do Paryża. Spodziewam się, że mi pan będzie robił
honory tego

miasta, w którym mogłabym oślepnąć i zginąć. Mieszkam w Grand-
Hotel. Oczekuję

pana niecierpliwie. — Oktawia Zbylityńska".

O mało nie straciłem przytomności. Cnotliwa pani Oktawia,
mieszkanka głębokiej

provincyi, niepokieszona wdowa, w żałobie po ojcu; ta kobieta w
Paryżu —

prosząca mnie o odegranie roli mentora, o robienie jej honorów w
nowym

Babilonie! Zadziwiła mnie do najwyższego stopnia.

Przypuszczałem zrazu jakąś mistyfikację Wiszyńskiego, który, jeden
tylko z

dandysów, wiedział o mojej znajomości z panią Oktawia.

Pani Zbylityńska w Paryżu! samo to jedno wystarczało do
przewrócenia człowiekowi

w głowie. Po co ona przyjechała? jak przyjechała? Co zrobiła z
synkiem, który

ani na chwilę nigdy nie odczepiał się od jej spódnicy? Tysiące pytań
nasuwały mi
się i czyniły przybycie pani Oktawii rzeczą w moich pojęciach
wierutnie
niemożliwą. Mimo to pośpieszyłem do wskazanego hotelu, i w jednym
z numerów pierwszego
piętra zastałem panią Oktawię z synkiem.
Bawiłem u niej ze dwie godziny, i dopiero po wyjściu zadałem sobie
pytanie: po
co dziedziczka Czeremechy przybyła do Paryża? Pytałem — i nie
znalazłem
odpowiedzi.
Wprawdzie mówiła mi dużo o ruchu stolicy, o jej uroku, o wirze życia
itp., ale
to wszystko nie wystarczało, by wytłómaczyć porzucenie obowiązków
przez panią
Zbylityńską, choćby tylko na przelotną chwilę czasu.
Na drugi dzień towarzyszyłem jej w oglądaniu Paryża. Pani Oktawia
była
roztargnioną i nie wyglądała bynajmniej na zachwyconą. Zdawała mi
się być myślą
w Czeremesze, gdy chciałem ażeby podziwiała monumenta i
arcydzieła Paryża i
kipiące wszędzie jego życie.
Na trzeci czy na czwarty dzień pani Oktawia zadała mi dość
oryginalne pytanie.
"Wyciągając do mnie prawą rękę, a z tejże chowając dwa środkowe
palce,
wyprostowując zaś duży i mały, zapytała:
— Co to znaczy?
— Pani! — zawołałem, wybuchając śmiechem, — gdzieżeś pani
podchwyciła ten znak
czysto paryzki, znak, który do największej wściekłości może
doprowadzić kobietę
z halli.
— Ale cóż to znaczy? — Co znaczy? — powtórzyłem — jest to znak
najwyższej pogardy dla kobiety.
Częstują się tą, obelgą ulicznice, przekupki, w ogóle...

— To tak! — podchwyciła pani Oktawia. — Dziś rano zastanowił mnie ten znak, który był powodem bójki między dwiema kobietami na ulicy, przed brama hotelu...

Pani Oktawia była bardzo ciekawą szczególnie w drobnostkach, czem zdradzała swą par excellence kobiecą naturę. Taką była zawsze, taką i w Paryżu. Więc wcale się nie zdziwiłem, gdy mi otwarcie powiedziała, iż musi zobaczyć modną wielką kokotę, a mianowicie tę pannę Larose, o której tyle opowiadał Wiszyński.

— Nie obiecuję pani pokazać pani Larose, ale inną...

— Nie, nie! tę tylko, — przerwała pani Oktawia.

— Jeżeli tak, to wola pani jest rozkazem — odparłem. — Cały elegancki świat wyjeżdża o godzinie czwartej do lasu Bulońskiego i tamże się odbywa parada powozów autour du lac. Zgiełk i nawał powozów jest taki, że wolnym krokiem objeżdżać muszą jezioro w czterech szeregach. Panna Larose często pokazuje się tam Paryżowi w swej londyńskiej Wiktorii.

— Pójdziemy więc do lasu Bulońskiego o czwartej, pójdziemy! — wyszczebiotała pani Oktawia z dziwnie roznamiętnionym wyrazem w iskrzących oczach. Nie przewidując następstw mego śmiałego planu, zgłosiłem się przed czwartą po panią Zbylityńską, która już na mnie czekała. Wyglądała prawie w gorączce, zastanawiając mnie do najwyższego stopnia.

Ubrana była czarno, poważnie i zaskromnie na Paryż. Wyglądała na prawdziwą, oplakującą męża wdowę, jaką zawsze była. Ja też odpowiednio do okoliczności się przystroiłem, aby nie razić przy tej poważnej i skromnej kobiecie, trzymającej za rękę dziesięcioletniego synka.

Usiłowałem zatracić własne cechy dandysa, które niewłaściwymi były
na tym
spacerze piechotą po lasku Bulońskim, en bon père de familie.
Zresztą, nie
życzyłem sobie być poznanym na pierwszy rzut oka przez wszystkich
dandysów
uczestniczących w spacerze autour du lac.
Włożyłem monokl do kieszeni, zapiąłem surdut, by ukryć kolorową
kamizelkę i pęk
nieodzownych wówczas breloków, a zamiast mego stika wysadzanego
brylantami,
wziąłem porządną hebanową laskę, którą, za każdym krokiem
opierałem o ziemię, co
już bezwarunkowo nie uchodziło dandysom.
Tak przebrany, podałem rękę pani Oktawii, i wysiadłszy z powozu,
wolnym krokiem
ruszyliśmy W stronę, gdzie już się snuły nadciągające od miasta
powozy.
Pani Oktawia była rozgorączkowaną, co chwila opierała się na mojem
ramieniu i
szeptała:
— Uważaj pan! uważaj! — Może to ona? ona? — wykrzykiwała, ile
razy tuż około nas przesunął się powóz z
piękną kobietą.
Okolo wpół do piątej, nagle spostrzegłem i natychmiast poznałem
kare konie panny
Larose, które w lansadach, niecierpliwiąc się powolnym ruchem,
koniecznym w
tłoku, tuż ku nam się zbliżały.
— Ona! — szepnąłem.
W tejże chwili pani Oktawia wysunęła rękę z pod mego ramienia i
podeszła, by
bliżej się znaleźć około przejeżdżającego powozu. Ja zaś cofnąłem się,
by nie
być poznanym przez Larosę.
Nigdy nie zapomnę sceny krótkiej, bo nie trwającej dłużej nad pół
minuty,

rozegranej w chwili, gdy lśniący powóz przesuwiał się około mej sąsiadki z Czeremechy.

Pragnąłem się skryć pod ziemię. Scena wydała mi się straszliwie długą.

W chwili, kiedy ekwipaż pięknej damy miał się zrównać ze stojącą niemal na jego drodze panią Zbylityńską, ta zaglądając prawie do powozu, wyciągnęła do siedzącej w nim kobiety rękę zgiętą w ów znak fatalny, o którego znaczenie mnie pytała.

I widziałem ten dramat cały, którego trwanie liczyło się na sekundy, i widzę tę rękę, której, jak sądziłem, pani Oktawia nigdy nie spuści.

Woźnica zdziwiony, ogłupiały, zwolnił i tak już powolny krok koni; lokaj wychylił się z kozła, by ujrzeć tę nadzwyczajną kobietę; piękna Larose poczerwieniała jak szkarłat, i nie mogła stłumić krótkiego, ale straszego wykrzyku. To wszystko trwało tylko kilkanaście sekund, ale wywarło głębokie wrażenie na tych, którzy tę scenę widzieli.

Dopiero, gdy już dużo powozów się przewinęło, zrównałem się z panią Oktawią.

Chciałem jej zapytać o znaczenie tej niewidzianej w naszym świecie awantury. Ale pytanie zamarło mi na ustach. Kobieta wyglądała wzburzona i wysiłona do ostatnich granic tym postępkiem, który przechodził jej moralne siły.

W milczeniu odwiozłem ją do hotelu. Ścisnęła mi silniej niż zwykle, rękę przy pożegnaniu, i rzekła głosem, który jeszcze zdradzał wzburzenie: — Dziękuję panu! Oddałeś mi pan przysługę. "Wypełniłam obowiązek...

Wybiegłem jak szalony, nie wiedząc, czy ja zwaryowałem, czy pani Oktawia.

— Larose mnie poznała — widziałem to — co też ona myśleć o mnie może?... Pani

Oktawia przesadza w swej cnocie. Jej postępek każe mi się obawiać o jej zmysły...

W głowie mi się plątało.

— Cóż ta kobieta mogła mieć za interes, w okazaniu swojej pogardy jednej z dam

paryzkiego lekkiego świata?

Ochłonałem dopiero na drugi dzień, gdy przyniesiono mi z poczty zaproszenie od

ślicznej Weracyi na wieczór, mający się odbyć nazajutrz. Uspokojony nieco tyra dowodem względności, poszedłem do hotelu pani

Zbylityńskiej, lecz tam nowa czekała mię niespodzianka.

Pani Oktawia wyjechała już poprzedniego wieczora, zostawiając dla mnie u

odźwiernego bilet tej treści.

"Opuszczam Paryż, spełniwszy to po co przyjechałam. Panna Larose musi mieć

szlachetnej natury podstawę, a mówią, że takie uległe są więcej wrażeniom

chwili, niż prawdom życia i morałom. Ściskam dłoń pańską i dziękuję. —

Zbylityńska."

— Zwaryowała! — zawołałem na głos, uradowany w gruncie rzeczy, że się pozbył

dziwacznej ukrainki.

Ale przecież, pani Oktawia w tej całej historyi nasuwała mi myśli, które

zakłóciły spokój mej duszy i mózgu, jaki zdołał ówczesnych dandysów.

Musiałem przywołać wszystkie siły ducha na pomoc, aby zatrzeć w pamięci przykre

wrażenie tego spaceru autour du lac z najpiękniejszą ze znanych mi Półek.

W Paryżu, jak się zdawało, nie było to rzeczą trudną.

VI. Ale czasy owe pod każdym względem tak pełne były niespodzianek, że nie był od

nich wolnym każdy niemal dzień pojedynczego człowieka. Nie ulega wątpliwości, żeśmy żyli naówczas w epoce przejściowej, w której świat

jako tako się porządkował po beładzie i wstrząśnieniach.

Epoka ta ma więcej stron ujemnych, niż dodatnich, lecz to nie przeszkadza, że w

niej się inaczej, swobodniej, bez troski o jutro, żyło.

Gdy sobie tylko przypomnę te czasy powszechnej dandysoneryi — cóż to za życie

kipiało między młodzieżą! i czego by ona dokazała, gdyby ją ktoś był wówczas

zgrabnie pchnął na inną, niż dandyzmu drogę!...

Ale odbiegłem od przedmiotu, zboczywszy à propos niespodzianek, które wtedy były

na porządku dziennym.

W Paryżu wszyscy przygotowywali wciąż niespodzianki całemu światu, który na tę

stolicę ciekawie zwracał oczy.

Niespodziankami zajęci byli wielcy ludzie i wielcy pisarze. Wszakże Hugo

przebrał się z arystokraty w demagoga, a prezydent wolnomyślny w cesarza.

Niespodzianki te bywały zwykle kwestyą jednej nocy, robili je wszyscy;

dlaczegożby więc nie przyszło do głowy pannie Larose sprawić niespodziankę rojom

swych wielbicieli?

Taką też zadziwiła ona Paryż na kilkanaście godzin.

Nazajutrz po wyjeździe mojej cnotliwej sąsiadki, zapewniwszy się od Wiszyńskiego, że piękna Weracya nie czuje do mnie najmniejszej

urazy, udałem się na jej świetny wieczór, stanowiący epokę w wyobrażeniach dandysów i eleganckiego

lekkiego świata.

Przekonany, że panna Larose nie zoczyła mnie wcale podczas fatalnej sceny nad

jeziorem, wszedłem do oświeconych apartamentów, w którym gospodyni domu

przywitała mię uprzejmie. A była śliczną dnia tego, tak piękną, jak
tylko piękną
być może kobieta u zenitu swej urody. Jakiś wyraz głębokiej zadumy i
odcień
melancholii, upiękniał jej twarz na podziw obecnych.
Nie będę opisywał tego wieczoru, zapisanego zresztą na długo w
kronikach
dandysów. Około północy, gdy salony się napęłniły, a zaproszeni
prawie tyli w
komplecie, zbliżyła się do mnie panna Larose.
— Panie! — zagadnęła z obojętnym uśmiechem, — zdaje mi się, iż
widziałam pana
wczoraj w lasku Bulońskim. Nie ukłoniłeś mi się, bo przecież nie
kłania się
kobietom z mojego świata...
Zmiészany, czułem że czerwienieję, choć Larose wypowiedziała te
kilka wyrazów
bez cienia urazy, ze smutkiem w głosie, który samego mnie napawał
goryczą.
— Tak pani! — wybełkotałem — tak, widziałem panią....
— Ale....
— Ale nie byłem sam...
— Z kimże!
— Z pewną moją znajomą. Panna Larose spojrzała rai bystro w oczy,
potem zamyśliła się, wzrok utopiła
gdzieś w dali, i roztaczając wachlarz, zakryła nim oblicze.
Nagle, odsłaniając twarz, na której smutek jeszcze więcej się podczas
tych kilku
sekund uwydatnił, zagadnęła:
— Uważałam pana zawsze za przyjaciela... i byłbyś nim dla mnie
zapewne, gdyby
nie to... że kobieta mojego świata tylko uczucie... rozrywki obudzać
może...
— Ależ pani! — wybełkotałem przerażony spokojem tych słów i
melancholią; —
jestem nim... jestem! Jakież mam dać dowody?
— Jeden tylko, a żąda go od pana kobieta, która pod wielu względami
wyżej stoi

od tych...

Tu wachlarzem potoczyła po sali, wskazując roje kobiet, które wówczas zdobyły elegancki i lekki Paryż.

— Służę pani!

— Będiesz pan szczerym? Na dowiedzeniu się prawdy, zależy mi... może nawet...

— Pytaj pani!

Larose się zamyśliła. Po czole jej przesuwiała się mgła głębokiej zadumy, a oczy

błyszczały jakby rozrzewnieniem i dziwiły przy zaciśniętych ustach, znamionujących wolę i postanowienie.

Taką Larose pierwszy raz widziałem, choć widziałem ją w różnych okolicznościach.

Nagle, wlepiając we mnie duże niebieskie oczy, które wtedy tak były błagalne i

rozkazujące, że wiedziałem, iż pytanie które mi zada, stanowić będzie epokę w jej życiu — zagadnęła

cicho i spokojnie;

— Ta kobieta, która była wtedy z panem w lasku Bulońskim?.. która mnie tak

okropnie zelżyła?..

Tu głos kobiety zatrzymał się w gardle, ból nie pozwalał na sformułowanie

pytania. Wreszcie odezwała się:

— Ta kobieta — kto to?

— Pani!

— Pańskie słowo?

— To moja sąsiadka z kraju.

— Jak się nazywa?

— Pani Zbylityńska.

— Jak jest z domu? zapytała Larose i zbladła jak alabaster.

— Różycka...

W tejże chwili Larose się zachwiała, i nim zdołałem ją podtrzymać, upadła

zemdlna na ziemię.

Powstał popłoch, z którego korzystając, uciekłem, i zatrzymałem się dopiero u

siebie w mieszkaniu.

W głowie mi szumiało, ale wytłomaczyć sobie nie mogłem związku między panią

Zbylityńska a Larose. Coś tu było, ale co?

Czyżby Weracya była Polką? toby przecież była się z tem zdradziła. Nad ranem, po kilku godzinach bezsenności, wyobraźnia przeniosła mnie do

Czeremechy i odtworzyła scenę, gdy na łożu śmierci leżał stary Różycki i mówił o

"tej drugiej". "Tą drugą, " którą dzieckiem porwali Cyganie... była Larose. Inaczej być nie

mogło, jeśli się chciało zrozumieć obie te kobiety, między które mnie postawił

przypadkowy pobyt w Jarmolinkach.

Ta kobieta, ta królowa lekkiego świata paryzkiego, cierpiała... Ów fatalny znak

panny Oktawii odniósł skutek.

Na trzeci dzień wybierałem się do Weracyi. Sądziłem, że może mógłbym jej być

użytecznym... Zresztą wizyta moja po wieczorze była de rigueur.

Już brałem najpiękniejszy stick do ręki, gdy wpadł do mnie książę Mora.

— Co między tobą a Larose zaszło? — zapytał od drzwi, a wyglądał wzburzony.

— Ależ nic!

— Bo wiesz, co się stało?

— Nic nie wiem!

— Larose — wystaw sobie! — zapisawszy wczoraj aktem notaryalnym na biednych

miasta Paryża swój dom, meble i kosztowności, konie i ekwipaże, zniknęła!

— Czy być może!

— Chodź i przekonaj się. Dom pokazują ciekawym za pieniądze. A mnie... nawet nie

uprzedziła... nie pożegnała... mówił Mora, na którego twarzy malowała się złość

i rozpacz.

Szliśmy na ulicę, przy której mieszkała Larose.

Tak było rzeczywiście. Salony napełniał tłum ciekawych, oglądających mieszkanie rozgłośniej piękności... W tym tłumie jakiś urzędnik miejski pilnował porządku. "W sali jadalnej, na bufetach, piętrzyły się srebra "empire, " mając być jutro zamienionymi na miedź dla biednych.

Zapytałem go:

— Nie wiesz pan, jak panna Larose podpisała swój akt notaryalny?

— Mais si — odparł młodzieniec — la demoiselle était une Polonaise.

Les

Polonaises sont toujours belles et... genereuses.

— Ale jakże się nazywała?

— Mais Véracie Riuziska... monsieur.

VII. Pewnego dnia wreszcie, bawiąc ciągle w Paryżu, uczułem potrzebę zrobienia rachunku sumienia ze swojej dziesięcioletniej przeszłości, spędzonej przeważnie za granicami kraju.

Do tego kroku skłoniła mnie głównie okoliczność, że dandysi polscy coraz bardziej

przerzedzali się na bulwarach. Wiszyński strwonił wszystko. Leoś odgrywał już

jakaś niby polityczną rolę, a Alfred odrabiał we wsi rodzinnej to, co stracił na

bruku paryzkim.

Rachunek mój wypadł tak, że uczułem i ja potrzebę powrotu i naprawienia, jeśliby

się jeszcze dało, głupstw popełnianych przez lat dziesięć. Srebrne włosy już często znajdowałem w

czarnych puklach na skroni, a złota coraz mniej przychodziło, bo z rozległych

dóbr zostały mi tylko: obdłużona ojcowizna na Litwie i niezgorsze dochody

Jarmolinek na południu,

Skruszony, pożegnałem niedobitki dandysów i powróciłem do kraju, z zamiarem

ratowania resztek fortuny, niedoniszczzonego zdrowia i niedobitego serca.

W Warszawie zaraz, stan moich interesów, przez całe lata prowadzonych przez plenipotentów bez kontroli, okazał się tak opłakanym, iż nie mogłem marzyć o utrzymaniu się przy ojcowiznie i przy dziedzictwie po stryju. Pocieszając się myślą, że niejednego z dandysów wykwitowano zupełnie z fortuny, gdy "zadawał szyku" nad Sekwaną, uważałem się jeszcze za wziętego w opiekę przez los, skoro choć coś mi pozostawało, choć dziesiąta część mienia. Postanowiłem sprzedać Jarmolinki i oczyścić wsie litewskie. Wypadek przyszedł mi w pomoc. Spotkałem raz na ulicy w Warszawie sąsiada z Ukrainy, Orwida, z którym siedząc w Jarmolinkach, namordowałem mnóstwo zajęcy dla opędzenia się tęsknocie do Paryża. Orwid zaraz tak mnie zagadnął:
— Po co trzymasz te Jarmolinki? Kradną tam cię do wszystkich dyabłów i niszczą urodzajną ziemię. Ot, ofiaruję ci cenę, na jaką mało ktoby się zdecydował, bo to i graniczy z Putiatyczami. Chce się rozszerzyć.
— Bardzo dobrze — mruknąłem — bo ja się chcę zwięzić. Przystanąwszy chwilę na ulicy, dobiliśmy targu. Owe czasy, to nie dziś. Lodzio w Wiedniu sprzedał w kawiarni swe dobra, złożone z dziewięciu folwarków, a Wiszyński w Paryżu przy bakaracie puścił klucz nad Horyniem. Dandysi szeroko traktowali interesa, a ja do śmierci już chyba nie pozbędę się dandysowstwa w poglądach na życie. Na drugi dzień, gdy regent pisał akt sprzedaży Jarmolinek panu Orwidowi, i gdy ten ciągle coś poprawiał, nudziłem się fatalnie — i nie wiedząc już, jak skrócić to czekanie i zapomnieć o dokuczliwym głodzie, zacząłem wypytywać Orwida o jego

stosunki sąsiedzkie, które mi jeszcze błąkały się w pamięci.

— A cóż Czeremecha? — zapytałem.

— Czeremecha! A nic... pani Oktawia, jak zawsze, gospodaruje, jeździ po chorych, wychowuje dzieci... a teraz założyła u siebie rodzaj szkoły dla biednych córek

oficyalistów i podupadłych Judzi. Zaczyna kobietal

— I mieszka zawsze w Czeremesze? Dworek ten jeszcze się nie rozwalił? Czy też

przeniosła się do... jakże się tam nazywa ta druga wieś, gdzie był pałacyk? —

pytałem, bo człowiek zawsze bywa ciekawy.— Ale gdzie tam! —

podchwycił Orwid. — "Werestyna należy do jej siostry, bo niewiesz może, że się znalazła ta siostra.

— Jakto? mów! mów! — zawołałem podskakując — Ta siostra, którą porwali Cygani?

— Ta!

— Znasz ją pan?

— Nie!

— Dlaczego?

— Bo nie mieszka w "Werestynie, tylko gdzieś jest guwernantką, czy coś

podobnego... Rozstała się, bo to ona ma kiedyś na wielką skalę założyć" w

"Werestynie różne dobroczynne instytucje." które mi tymczasem zawiaduje pani

Oktawia.

Wtem regent wstał od biura i oznajmił, że brak tylko na akcie naszych podpisów.

Położywszy podpisy i ukończywszy rachunki, pożegnaliśmy się z Orwidem, bo jemu

pilno było do żony, a mnie na obiad.

VIII. Minęło lat... chyba dwadzieścia kilka.

Z Orwidem od czasu sprzedaży Jarmolinek, pozostawałem w dobrych stosunkach;

spotykaliśmy się kiedy niekiedy w Warszawie. Nie zdziwiłem się też wcale, gdy raz dostałem od niego list, w którym donosił

mi, że wydaje córkę za mąż, i że daje jej Jarmolinki w posagu. Dalej donosił, że

na Jarmolinkach zrobił majątek, i że z tego względu prawdziwą mu zrobię

przyjemność, przyjeżdżając na ślub jego córki, której, gdyby nie ja, ani tak

dobrzeby nie wydawał, ani Jarmolinkami nie wyposażał.

Podobała mi się ta szczerłość w szlachcicu, którego zresztą lubiłem, i pośpieszyłem w tak odmiennych okolicznościach po raz drugi na Ukrainę.

Na uroczystości ślubnej znajdowała się cała okolica; ale uderzyły mnie głównie

dwie niewiasty, dziwnie poważne, a powiedzieć można, dwie bardzo piękne matrony.

W jednej z nich z łatwością poznałem panią Oktawie; w drugiej — panią Larose.

Zakłopotany tem spotkaniem, miałem zamiar nie przypominania się nawet pamięci

pani Zbylityńskiej. Ale ta pierwsza odrazu mnie poznawszy, zbliżyła się do mnie

i wszczęła rozmowę, w której wkrótce wtrąciła:

— Pamiętasz pan naszą eskapadę autour du lac?

— Pamiętam!

Pani Oktawia zamyśliła się, a po chwili dodała:

— I proszę pana, gdyby nie moja znajomość z panem, gdyby nie owe wiersze Wiktora

Fugo, gdyby nie ten dandys Wiszyński, gdybym nie była słuchała wtedy podszeptu

swej gorącej natury i nie... no wieszpan!... nie byłabym odzyskała siostry, a społeczeństwo bardzo pożytecznej

osoby..., Dużo panu winnam... Tu podała mi rękę i ze łzą, w oku ścisnęła.

— Ha! — pomyślałem — to chyba jedyna moja zasługa na liście wszystkich zasług

byłych dandysów.

Gdy się goście rozjechali, zapytałem pani Orwidowej o zdanie jej o dwóch

siostrach, na które od lat dwudziestu patrzyła z okien Putiatycz, z kądem widać

było i Werestinę i Czeremechę.

— Panie — odparła — to są święte osoby. Cała okolica czołem bije przed ich

obywatelskimi zasługami. Ile ona robi dobrego! ile panna Weracya wychowa

sierot, wyposaży dziewczyn!... Niema ślubu, niema wypadku rodzinnego daleko

wszerz i wzdłuż, w którymby się nie liczone ze zdaniem tych pań.

— A panna Weracya dawno zamieszkała w Werestinie?

— Przed dziesięciu czy dwunastu laty. Teraz obie razem mieszkają.

— A głos publiczny — podchwyciłem — którą z tych pań woli?

— Pani Weracya więcej robi dobrego, bo nie ma bliższych obowiązków, a ja

osobiście wolę też pannę Weracyę.

— Dlaczego?

— Bo jest wyrozumialszą i pobłażliwszą! Opuściłem Jarmolinki z dziwnym uczuciem

nie-zadowolenia. Uczułem, że wszystkie błędy młodości naprawić można, a ja tak mało,

prawie nic nie zrobiłem, by przed własnym sumieniem rozgrzeszyć się z tej

głupiej epoki dandysowstwa.

Nic, nic! tylko jako zasługa stawała mi w myśli cała ta historia, choć tak

bierną grałem w niej rolę...